Nr. 4. Kraków, w kwietniu 1902 r. Rok III.



Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

DO PRACY.

I.

Do pracy! razem do pracy!
W ciszy, w zgodzie, dłonią w dłoń,
My bezbronni! więc rodacy:
Praca dziś to nasza broń.

Dla Ojczyzny umrzeć zdolni,
Umieliśmy wrogów bić,
Dziś umiejmy duchem wolni,
Spólnym trudem dla niej żyć.

Choć świat mniemał, że nad nami
Pogrzebowy jęknie dzwon,
Ziarno rosło pod grobami,
Z naszej siejby zbierzem plon.

Kiedy krwi już u nas mało,
By z wrogami iść na bój,
Siłę w wątłe matki ciało,
W leje trudów naszych znój.

W nas zbawienie arka ludów,
W naszem ręku Polski byt,
Bracia pole naszych trudów
Od Dniepru po Karpat szczyt.

Daremna przemoc daremna!
Grabież wydrze tu nasz trud,
Warty, Wisły, Dniepru, Niemna,
Nie odstąpi polski lud.

II.

Przeciw hordom najezdników,
My strażnicy przednich czat,
Jako zastęp męczenników,
Giniemy przez tysiące lat.

W złote jarzmo pysznej dziczy,
Chcącej w imię świętych słów,
Nas w tłum zmienić niewolniczy,
Nie poddamy naszych głów.

Nasza krew nie poszła marnie,
Przyjdzie kiedyś, przyjdzie czas:
Ludzkość za nasze męczarnie,
Błogosławić będzie nas.

My wyżsi ducha czystością,
Wśród namiętnych groźnych chmur,
Cnotą, pracą i jednością
Dajmy ludom z siebie wzór.

Przemoc nas wyniszczyć chciała,
Kraj zmieniła w gruzów stos,

Ale żyje polska cała,
Póki w piersi polski głos.
Daremna przemoc itd.

III.

Spójnych węzłami świętymi,
Nas nie rozdarł męczeństw wiek,
Nie oddamy piędzi ziemi,
Kropli wody z naszych rzek.

Choć prowadzi sąsiad chciwy,
O graniczne miedze spór,
Ojców naszych wskaże niwy,
W świętych pieśniach bratni chór.

Gdzie wróg gwałtem swoją wiarę,
Swoją mowę wtłacza w lud,
Po tem poznać miedze stare,
Nasze pola, polski ród.

Kędy zamiast Bożej chwały,
Czczą poganie stal i spiż,
Tam się gnieździł orzeł biały,
I Chrystusa jaśniał krzyż.

Kędy stała szubienica,
Zlana polskich niewiast łzą,
Naszej ziemi to granica,
Użyźnianej polską krwią.
Daremna przemoc itd.

IV.

Do pracy! razem do pracy!
W ciszy, w zgodzie, dłonią w dłoń,
My bezbronni! więc rodacy:
Praca dziś to nasza broń.

Kiedy krwi już u nas mało,
By z wrogami iść na bój,
Siłę w wątłe matki ciało,
Wleje trudów naszych znój.

Dla Ojczyzny umrzeć zdolni,
Umieliśmy wrogów bić,
Dziś umiejmy duchem wolni,
Spólnym trudem dla niej żyć.

Doczekają nasze dzieci,
Doczekają błogich dni:
Gdy nasz biały orzeł wzleci,
Odmłodniały w polskiej krwi.

Biały orzeł odrodzony,
Lotem swoim zdziwi świat,
I zaostrzy białe szpony,
Jak bywało dawnych lat.
Daremna przemoc itd.

Stefan Buszczyński.

Za pohańbienie nasze.

W cichy wieczór grudniowy siedziałam w moim pokoju tęsknej oddana zadumie.

Jak zmora ciążyły mi na duszy procesa szlachetnej naszej młodzieży, a w szumie wichru słyszałam wyraźnie bolesny płacz wrzesińskich dzieci.

Pokąd tego Panie... o! i pokąd...

Nagle ktoś z cicha zapukał do drzwi.

Proszę! — wymówiłam, rada, że ktoś me myśli rozerwie.

Do pokoju wszedł, a raczej wsunął się górnik czarny, przychodzący wprost od pracy w kopalni.

— Czego sobie życzą? — zapytałam, i posunęłam mu krzesełko, na którym on usiadł całym ciężarem strudzonego ciała i utonął w zadumie.

Objęłam go spojrzeniem. Nie miał może lat czterdziestu, był wysoki i zbudowany silnie, lecz nosił w sobie wszystkie piętna człowieka steranego przed czasem. Ciężkie głazy węgla pociągnęły ramiona jego ku dołowi i w kabłąk zgięły plecy. Spojrzenia lękliwe, zakłopotane znamionowały człowieka, który się nigdy nie czuł swobodnym.

— Czy przyszli o co zapytać. albo potrzebują rady? — zapytałam jak można najłagodniej.

— Rady?.. ba! kiedy ja już nijakiej nie widzę — brzmiała odpowiedź głucha.

— Człowieku! was coś boli, powiedzcież mi, a może pomoc się znajdzie. Dziś nam ciężko na świecie, lecz ufajmy Bogu, że nam odmieni dolę.

— Czy czytacie jakie pismo polskie? — wymówiłam po chwili, chcąc myśl biedaka w inną zwrócić stronę.

Machnął ręką w powietrzu.

— Kazałem sobie przynosić pismo, zapłaciłem naprzód, ale mi je kobieta z domu wyciepujc, bo powiada, że po polsku to już nie modnie. Ona chce czytać „fajnie“ i bierze dla siebie „ancajgra“.

— Jakto nie modnie — zapytuje — czy wasza kobieta niemką?

— Bogoć ta!... ani po niemiecku bez mała nie poradzi, z niemcem by się ta nie porozumiała, ale w jednej chałupie, z babami głupiemi jak ona siedzi, to po niemiecku gwarzą.

Nagle począł gwałtownie.

— Wiedzą, dawniej to ja myślał, że Bóg odmieni, bom dawał czego Jezusowi nie wymawiam i na msze św. do Przemienienia Pańskiego i św. Antoniego ja prosił, by jej przy-

wrócił serce uczciwe, a nijak niema odmiany i już chyba nie będzie.

Umilkł wyczerpany, wsparł łokcie na kolanach i ująwszy rękoma głowę, kołysał ją w takt miarowy, jakby chciał uśpić rój myśli czarnych, co jak upiorów stado wżerały się do mózgu i wysysały zeń siłę ducha. Wyglądał w tej chwili jak dziecko bezradne, które zmęczone drogą tułaczą zasypia gdzieś u progu.

Z tego stanu odrętwienia zbudziłam go zapytaniem cichem: — a dzieci czy mają?

— A były, ale pobrał Bóg, pobrał wszystkie do ostatniego, za karę, za grzech, za winy ciężkie — wymówił nagle gwałtownie i czarną, spracowaną ręką począł się bić w pierś szeroką, ale zaklęsłą bólem i przepojoną trucizną.

— Bo widzą, paniuchno — począł po chwili ciężko przydyszonym głosem — ja im powiem jako było, bo oni porozumią i będą mieli rozeznanie i powiedzą, jako mam prawie (słuszność). Pobraliśmy się, będzie temu roków dziesięć. W chałupie nie było biedy, bo miałem dobrą robotę, a i kobieta nie była leniem. Ale zapachniała jej w mieście niemczyzna; musi mnie z niemiecka zagadywać! Ja do niej: cicho bądź, nie kuś Boga, bo nas pokarze... A ona nic. Przyszło dziecko, to aże poweselało w chałupie, bo to chłopak, a jaki piękny, żeby go jeno widzieli... Ochrzciliśmy go Józefem i chował się zdrowo. Po roku znowu bociany. Ja i wtenczas rad! ot, przyniosły dziewuszkę. Kobiecie zachciało się dla niej Gertrud na imię, bo to fajniej z miejska i niemiecka. Nie chciałem zwady, choć mojej matce niebodze było na miano Franciszka i takem sobie to imię wyznaczył.

Dziewczynka coś w pół roku zmarła!

I przyszły do chałupy jeszcze dwa synki i dziewucha. Ale moja już tylko niemieckie dawała im imiona i niemieckich tylko brałem do nich „patków“ (chrzestnych) i po niemiecku z niemi poczęła szwargotać. Ja coś miarkował że będzie źle, alem nie śmiał mówić, bo my mieszkali u teściów w chałupie, byłaby więc ostuda (niezgoda). I tak mieliśmy Wilhelma, Roberta i mieliśmy Otylkę.

A wiedzą, pani... co które z nich poczynało chodzić, śmiać się, a mówić po niemiecku, to zaraz cosik się dzieje, jakby ręką przewrócił: choroba, śmierć, trułeczka i ciężka żałość w chałupie.

Kobieta mówiła, że to na ząbki albo od uroku, ale ja miarkował, że to karze Bóg.

Ale chwała Bogu, Józek rósł zdrowo, a że był najstarszy, tom go brał ze sobą i uczył, jako się dało. Było mu bez mała ośm roków a już pięknie czytał na książeczce i pisał na tabliczce. I kobieta cieszyła się synkiem, jako rośnie zdrowo i mądry jest nad podziw.

Była pewien czas zgoda pomiędzy nami i znowu Bóg zesłał wesele, dziewuszkę w dom, a taką, jako rumiane jabłuszko. Ja się nie mało ucieszył, ale mię coś tknęło.

— Kobieto — mówię — dajmy jej Maryjka na miano, na chwałę Przenajświętszej, to pewnie się uchowa.

Przystała i dobry Jezusinek jakby dolę odmienił.

Maryjka rosła jak ten kwiateczek i było w izbie pełno wesela. I tak jej przeszło całe cztery roków.

Aż tu ot! przychodzę raz z roboty, a tu dziewucha wita mnie: co faterek tak długo robili? Biorę dziecko na rękę i pytam: Kto cię tego nauczył?

A ono płacze i powiada! muterka nakazali.

Było mi ot, jak gdyby kilofem siepnął mię przez głowę. Toż przecież w Piekarach mamy „Matkę Bożą“, a w pacierzu stoi „Ojcze nasz“.

Powiadam kobiecie po dobremu i proszę i modlę się niby przed świętym obrazem, a ona się zaparła i jeno mówi:

— Właśnie, że tak teraz będzie mówiła, boby jej było ciężko w szkole i dzieci niemieckie by się z niej śmiały.

Przyszło pomiędzy nami do zwady, nie pomnę, com jej powiedział, ale moja wzięła przestraszona Maryjkę w koszulinie i w jednej kiecce i poszła sobie do ojców. Maryjka obejrzała się za mną, a jako zawsze byłem dla niej dobry, wyciągnęła rączyny i zawołała: chodź do tatulka, do tatulka!

I tyle ot widziałem moje dziecko.

Kobieta na noc nie wróciła do izby, a ja przez noc całą jak ciężki grzesznik kajałem się Bogu i prosiłem, by mię oświecił, czyli zawiniłem ja. Józek popłakiwał na posłaniu.

Nagle, dobrze już po północy, zbudził mię krzyk straszny na górze, a kobieta moja wbiegła do izby i zawołała: Maryjka kona!

Zerwałem się z posłania i pobiegłem do doktora. Ale nie było już nijakiej rady. Dziewczyna dostała kurczy, a nad ranem leżała już do trułenki gotowa.

I wiedzą; kobieta powiedziała mi w oczy, że to ja ją zabił, jako się dziecko przestraszyło. A dziecko do mnie wyciągało ręce i chciało przecież z tatulkiem pozostać.

Przebaczyłem kobiecie, bo żal przez nią mówił, alem już do niej zatracił serce i byliśmy

dla siebie jako obcy. Wiedziałem, że Bóg pokarał za faterka i za tę muterkę niemiecką.

Człowiek zamilkł wysilony, a i ja długo nie przerywałam milczenia.

Dopiero po chwili wymówiłam: ale wam został syn najstarszy i tego uchrońcie od zniemczenia, toż jesteście ojcem, macie za sobą siłę i prawo!

Górnik zerwał się ze siedzenia i stanął przedemną groźny z ponurym w oczach błyskiem.

— Siłę, prawo! — wymówił — a toż go już wzięli na niemiecką naukę religii przed pójściem do Komuni świętej. Mnie przygniotło w kopalni, leżałem dwa miesiące w lazarecie i nie wiedziałem o świecie Bożym. Miałem prawo, ale je miała i matka. Nie dopatrzyła — wzięto chłopca do niemieckiego oddziału i nie chcą puścić, choć byłem sam u fararza. Chłopiec się podobno opierał, ale nie poradził. No, i uczy się religii naszej świętej po niemiecku. Ostatni, ostatni! mój syn jedyny. Karze Bóg, karze Bóg i będzie karał w dziesiąte pokolenie. Za wiarę, świętą, za ojców mowę, za pohańbienie nasze. Za chrzest niemiecki w naszych świątyniach, za niemieckie groby, na naszej polskiej ziemi.

Siedziałam jak osłupiała, a grozy pełne słowa z jasnowidzeniem nadchodzącej kary przykuwały mię jak sparaliżowaną do miejsca.

A górnik zakrył twarz swoją, a pomiędzy grubymi palcami spracowanych rąk jego sunęły się łzy wielkie, ciężkie i kroplami upadały na ziemię, na tę odwieczną — polską!

A czy łzy takie jedyne na Śląsku?!

Czuj — duch.

O pielęgnowaniu niemowląt.

Ważną rzeczą przy chowaniu niemowlęcia jest śledzić bacznie wzrost siły i postępowanie z dzieckiem do tego wzrostu zastosować, aby przez zbytnie wytężanie siły, zdrowia dziecka nie nadwerężyć.

Dzieci maleńkie często już od pierwszych dni życia zaczynają główki w górę podnosić, co jest powodem słusznej radości matek, bo świadczy o dobrym stanie sił i zdrowia u dziecka. Przypominamy jednak, że niemowlęta mają zawsze głowę w stosunku do całego ciała bardzo dużą, a kosteczki tak wątłe i miękkie, że łatwo uledz mogą wygięciu. Wskutek tego nie można dziecka przynajmniej do czwartego miesiąca trzymać prosto na ręku, gdyż ciężka główka chwiejąc się na wszystkie strony wywołuje nadmierne natężenie mięśni w cienkiej szyjce i kości pacierzowej, na której się opiera.

Jak wszędzie, tak i tu najlepiej jest dziecko powoli przyzwyczajać do pracy, jaką dla niego jest trzymanie prosto główki. Dlatego już w trzecim miesiącu można dziecko rozpowite kłaść na brzuszku, z początku na maleńką chwilkę, potem na kilka minut, ale nie dłużej. Dziecko położone w takiej pozycyi prostuje sobie plecki i zaczyna dźwigać ciężką głowinę, przez co wyrabia sobie powoli siłę w krzyżu i karczku. Można to powtarzać po parę razy w ciągu dnia — ale zawsze króciutko dziecko w takiem położeniu trzymać, a przekonamy się, że jest to gimnastyka — choć nie konieczna dla zdrowia — jednak bardzo przydatna i dla samego maleństwa miła. Dziecko niezbyt duże i tłuste można w czwartym miesiącu już nosić na ręku; ostrzegamy jednak z góry, że odnosi się to tylko do tych dzieci, które same już główkę bez zbytniego wysiłku utrzymać potrafią. Często bowiem spotykamy po wsiach takie maleństwa na ręku, którym główka chwieje się na wszystkie strony, a pomimo tego przymuszone są do dźwigania jej w górę.

Rozsądne matki same mogą zrozumieć, że takie wytężanie sił dziecka, jeśli nie szkodzi natychmiast, to na przyszłość pozostawia smutne skutki, bo nie dozwala kości pacierzowej i krzyżom rozwinąć się swobodnie.

Dobrze jest w ciągu pierwszych miesięcy noszenia dziecka prosto, owijać je od pach aż do końca brzuszka długą i dość szeroką krajką, nie mocno, ale szczelnie, przez to bowiem dziecko prościej się trzyma i mniej się męczy.

Podobnie rzecz się ma z siadaniem u dzieci. Kiedy to następuje? Zwyczajnie w piątym lub w szóstym miesiącu, dokładnie tego czasu nie można oznaczyć, bo i tu jak w poprzednim wypadku mamy najrozmaitsze przykłady przyśpieszenia lub przedłużenia tego terminu. To też nie trzeba mówić sobie z góry: dziecko powinno już trzymać się prosto, albo: powinno już samo siedzieć — i nigdy go do tego nie zmuszać, bo pod tym względem najlepszą i najmędrszą jest sama natura, która maleństwo do objawów życia i siły popycha.

Mówiąc o tym okresie czasu, musimy matkom przypomnieć, że czwarty i piąty miesiąc są najlepszym czasem do szczepienia dzieci. W pierwszych miesiącach dziecko jest jeszcze za słabe, w późniejszych, kiedy może drugą rą-

czką dosięgnąć zaszczepionego miejsca, niepokoi się, bo tarciem i drapaniem powiększa zaognienie. W tej zaś porze zazwyczaj szczepienie najlżej u dzieci przechodzi.

Miejsca zaszczepione do siedmiu dni powinny zebrać w bąble, wypełnione materyą, które po tygodniu zwykle pękają i przysychają. Strupki zostają na rączce często przez kilka tygodni i należy bardzo uważać, aby ich nie oderwać, gdyż rączka mogłaby się na nowo rozranić. Niektóre dzieci dostają przy zaszczepieniu gorączki, ale to nie jest objawem niebezpiecznym i nie należy się tem przerażać. Trzeba tylko u gorączkującego dziecka kąpiel na kilka dni przerwać, aby uniknąć możliwego w takim razie przeziębienia. Dzieci, które przechodzą szczepienie bez gorączki, można kąpać jak zwykle, gdyż kąpiel zawsze odświeża i wzmacnia ciało. W porze letniej, podczas upałów, dobrze jest owijać dziecku zaszczepioną rączkę czystym płatkiem umoczonym w dobrej oliwie stołowej, gdyż oliwa zawsze łagodzi pieczenie i swędzenie.

Okres ząbkowania występuje u dzieci jeszcze nieregularniej, niż okres prostego trzymania się i siadania. Często już w czwartym miesiącu wychodzą dziecku pierwsze ząbki, czasem znów do ósmego lub dziewiątego doczekać się ich nie można. Zwyczajnym objawem podczas wychodzenia ząbków jest u dzieci kaszel i słabość żołądkowa. O ile jednak wiemy z doświadczenia wszelkie środki do zaspokojenia tych dolegliwości zwykle w takich razach nie skutkują i dopiero wtedy, gdy ząbek zupełnie na wierzch się wybije, następuje natychmiastowa ulga. Objawami towarzyszącymi zwykle wyrastaniu ząbka są: ciągłe ślinienie się, chwytanie dziąsełkami wszystkiego, co dziecku w rączki wpadnie i oznaki niecierpliwości, spowodowane swędzeniem dziąseł, czasem gorączka, która wszakże nie powinna trwać dłużej nad kilka lub kilkanaście godzin.

Dziecko w czasie dostawania ząbków jest słabsze i skłonniejsze do zasłabnięć i chorób niż zwykle, to też należy je otaczać większą pieczołowitością, ale do lekarstw się nie uciekać, chyba w razie rzeczywistej słabości, o czem jedynie doktorzy mogą rozstrzygać.

Dziecko w drugiem półroczu życia zaczyna rozwijać się coraz prędzej. Na wszystko zwraca uwagę, zaczyna śmiać się głośno, naśladuje wykrzykniki, ruchy, wreszcie zaczyna próbować siły własnych nóżek. Jest ogólne przekonanie, że dziewczynki wcześniej zaczynają mówić, a chłopcy chodzić. Zależy to jednakże nie od płci, ale od siły dziecka. Dzieci, pozostawione same sobie, wcześniej wyrabiają sobie siły przez czołganie się po ziemi i niejednym guzem opłacone próby wstawania na nóżki. Dzieci, trzymane ciągle na ręku, nie rwą się tak bardzo do chodzenia i nie są do takich prób zbyt pohopne. Dzieci drobne i żywe wcześniej zaczynają chodzić, niż duże i tłuste. Co się tyczy dzieci niedonoszonych, to trzeba pamiętać, że te wymagają szczególnych względów i nie powinny być uważane na równi z innymi dziećmi, chociażby najlepiej wyglądały. Wogóle nie należy dziecka zachęcać do chodzenia, gdy ono samo do tego nie objawia ochoty, bo kości w nóżkach, jeśli nie są dość silne, wykrzywiają się bardzo łatwo i trzeba później długiego nieraz czasu i kuracyi, aby je naprostować. Bez wątpienia, wygodniej jest dla matki, jeśli dziecko wcześnie zaczyna chodzić, ale przykro później patrzeć na maleństwo, które na pokrzywionych nóżkach z mozołem się porusza.

Dla wzmocnienia słabych dzieci dobrze jest kąpać je co drugi dzień w wodzie, do której dodaje się pół funta zwykłej soli kuchennej. Sól wzmacnia kości i usuwa skłonności do skrofułów i chorób gardlanych. Kąpiele takie korzystnie jest prowadzić w lecie lub na wiosnę. Pora zimowa nie bardzo temu odpowiada.

Dziecko półtoraroczne jest już bardzo mądrem stworzonkiem. Umie chodzić, trochę mówi, rozumie zazwyczaj wszystko i może jadać już potrawy przyrządzone dla starszych. Ale i nadal trzeba pielęgnować je w sposób, któryby najlepiej odpowiadał wymaganiom zdrowia zarówno ciała jak budzącej się duszy dziecka, a wskazówki w tym przedmiocie podamy w innych rozdziałach.

Tymczasem zaś pragniemy, aby nasze proste rady znalazły jaknajszersze zastosowanie i wyrugowały rozliczne zwyczaje i leki, które tak często przy chowaniu małych dzieci używane, zazwyczaj więcej szkody niż pożytku przynoszą. W razie zaś jakich wątpliwości lub niepewności, jakie mogłyby się nasunąć na myśl matkom przy pielęgnowaniu dzieci w wieku, o którym mówiliśmy dotąd, prosimy o nadesłanie zapytań, na które będziemy się starali jak najlepiej odpowiedzieć.

O upadku miast w Polsce.

Panowanie Kazimierza Wielkiego i pierwszych Jagiellonów to świetny okres w dziejach polskiego mieszczaństwa, cieszy się ono rozległym samo-

rządem i korzystnemi prawami, posiada warunki wszechstronnego rozwoju. Przez miasta polskie idą ważne drogi handlowe ówczesnej Europy, tędy przewożą towary z zachodu na wschód, wzrasta zamożność, oświata, miasta stają się ogniskami ożywionego ruchu handlowego, ściągają do nich ze wszech stron kupcy zagraniczni ze swymi towarami. Ale niestety stan ten trwa krótko; od XVI-go wieku miasta nasze chylą się do upadku, zanika dawna zamożność, zmniejsza się liczba ludności, bogaci kupcy dochodzą do stanowiska nędznych kramarzy. dawnych rzemieślników zastępują partacze, wyrabiające liche towary ku użytkowi tylko najbiedniejszej ludności; upada handel i przemysł, te dwa ważne źródła narodowego bogactwa.

Na wytworzenie tych smutnych stosunków dwojakie oddziałały przyczyny; odkryto właśnie nowe, piękne kraje za szerokim Oceanem, odkryto Amerykę, więc w jej stronę skierował się cały handel, tam dążyli kupcy, spodziewając się w nieznanych, bogatych krajach tanio i łatwo nabyć towary, by je potem z wielkim zyskiem odsprzedać w Europie. Ameryka położona jest daleko w stronie, gdzie słońce zachodzi, zaś Polska leży ku wschodowi. Zmiana ogólna dróg handlowych smutnie odbiła się na naszych miastach, coraz mniej przyjeżdżało kupców, coraz mniej towarów kupowano i sprzedawano, bo wszyscy woleli w nowych krajach szukać łatwego zarobku. Miasta opustoszały, zbiedniały, przestały być ogniskami handlowego ruchu. Do ich upadku przyczyniło się wielce i to, że przy końcu XV-go wieku całą władzę w Polsce wziął Sejm, złożony z samej szlachty. Sejm ten wydawał ustawy, których wszyscy słuchać musieli, nakładał podatki, zajmował się najważniejszemi sprawami państwa i społeczeństwa. Wielkiem złem było, że w Sejmie tym obok szlachty nie znaleźli się mieszczanie, którzyby bronić tam mogli praw swojego stanu, stać na straży interesów mieszczańskich. Szlachta wydawała rozporzędzenia nader dla miast szkodliwe, dbała jedynie o własną korzyść, o własne sprawy, poświęciła im bezlitośnie dobrobyt i pomyślność stanów niższych — a one nawet bronić się nie mogły, zabierać głosu tam, gdzie rozstrzygano o ich losach, bez ich woli i wiedzy. Panowanie szlachty odbiło się smutno na doli naszego mieszczaństwa, szlachta podkopała rozwijający się szczęśliwie przemysł i handel, dla własnych, chwilowych korzyści poświęciła pomyślność i rozwój reszty narodu. Na pamiętnym Sejmie w 1496 roku, w Piotrkowie, za panowania Jana Olbrachta, wyszło rozporządzenie, że mieszczanom nie wolno jest nabywać dóbr ziemskich, posiadane zaś majątki winni byli jaknajprędzej sprzedać szlachcie, która w ten sposób wszystkie korzyści z handlu zbożem w swoje zagarniała ręce — posiadanie ziemi miało być od tej pory wyłącznie jej przwilejem. Zabroniono też mieszczanom zajmować wyższych godności i stanowisk w Kościele, nie mogli oni być biskupami ani prymasami państwa. Rozporządzenie to nietylko że jest niesprawiedliwe, ale i niezgodne z nauką chrześcijańską, która głosi równość wszystkich ludzi, a o tem, kto ma zostać biskupem, rozstrzygać winny nauka i cnoty człowieka, a nie urodzenie, przynależność do szlachty czy mieszczaństwa.

Za tą pierwszą niesprawiedliwością poszły inne; panująca szlachta niechętnie patrzyła na przywileje i samorząd miejski, mięszać się poczęła do ich spraw wewnętrznych, ograniczać swobodę handlu i przemysłu. Zwrócono się przeciwko cechom rzemieślniczym, którym przysługiwało prawo stanowienia miar, wag i cen towarów, prawo to przekazano teraz urzędnikom szlacheckim, wojewodom i starostom. Ci dbali więcej o dobro szlachty, która kupowała towary, aniżeli o interesy mieszczan, którzy je wyrabiali; oznaczali więc nader niskie ceny towarów, nieraz niższe od ich rzeczywistej wartości. Rady miast i ławnicy dopuszczeni byli wprawdzie do obrad nad cenami, ale głos ich nie miał żadnego znaczenia wobec woli tak znacznych urzędników jak wojewoda lub starosta.

Również niekorzystne było dla mieszczan uwolnienie szlachty od opłat celnych za towary przez nią wywożone zagranicę lub sprowadzane do kraju dla własnego użytku. Szlachcic, nie płacąc cła, mógł wszystko sprzedać taniej od mieszczanina, który obowiązany był do ponoszenia wszelkich ciężarów celnych; szlachcic towary kupował nie w kraju lecz zagranicą, gdzie płacił za nie taniej niż u mieszczan miejscowych; oddziaływało to ujemnie na handel krajowy, który współzawodnictwa z zagranicznym wytrzymać nie mógł i musiał upaść, przyczyniając się do ruiny polskiego mieszczaństwa. Dalej zabroniono mieszczanom towary własne wywozić z kraju, gdy jednocześnie obcy przybywali do Polski i zakupywali je nieraz w znacznej ilości, bogacąc się naszym kosztem. Zamiast opiekować się rodzinnym przemysłem i handlem, zamiast przez cła ochronne strzedz ich od niebezpiecznego współzawodnictwa zagranicy, zamiast potrzeby własne zaspakajać w kraju u swoich, szlachta przez nierozumne ustawy zniszczyła przemysł rodzimy, handel oddała w ręce cudzoziem-

ców, podkopała dobrobyt miast polskich, rozwijających się tak pomyślnie do XVI-go wieku.

Nie poprzestając na tem, szlachta dążała do ograniczania samorządu miast, zatem upadało coraz bardziej znaczenie Rad miejskich, a część dawnego zakresu ich działalności przeszła na urzędników, zwanych starostami. Przed nimi Rada musiała zdawać rachunki ze swoich dochodów, oni oddziaływali na wybór radców i do stanowiska tego dopuszczali tylko tych, którzy poddawali się ich woli. Rządy starostów były klęską dla miast, bo urzędnicy ci dbali tylko o własną korzyść z krzywdą mieszczaństwa, które nie mogło bronić się skutecznie, gdyż nie miało po temu praw, ani środków. Jeżeli zdarzyło się, że mieszczanin zabił lub zranił szlachcica, to stawał przed sądem szlacheckim; odwrotnie znowu szlachcic, który skrzywdził mieszczanina, stawał przed sądem mięszanym, złożonym z członków obydwóch stanów, ale i tutaj szlachta miała liczebną przewagę, a cierpiał na tem niemało wymiar sprawiedliwości.

I trwał ten smutny stan miast polskich aż do końca XVIII-go wieku, panowała wyłącznie szlachta, ona tylko miała znaczenie, przywileje, władzę. — A przecież ciężarowi rządów szlachta nie umiała podołać; od drugiej połowy XVII-go wieku widzimy wśród niej zanik oświaty, zanik męstwa i cnót obywatelskich, państwo polskie słabnie, chyli się zwolna do upadku. Korzystają z tego obce potęgi i zmawiają się, by kraj nasz między siebie podzielić. W chwilach grożącego niebezpieczeństwa zerwało się społeczeństwo polskie do obrony, zebrano w r. 1788 pamiętny Sejm, na którym radzono przez 4 lata (Sejm ten zwie się więc wielkim czyli czteroletnim) jakieby zaprowadzić zmiany w państwie, jakiemi sposobami ratować je od zguby. Wystąpili wtedy mieszczanie pod wodzą prezydenta miasta Warszawy, zacnego Dekerta, i upominali się o wydarte im prawa. Tym razem głos ich nie przebrzmiał bez echa, rozumiano, że do ratowania Ojczyzny powołać trzeba nietylko samą szlachtę, ale wszystkie jej dzieci, i mieszczan i lud wiejski, wysłuchano więc słusznych żądań mieszczan i 18 kwietnia wydana została ustawa dla miast. Nie porównano jeszcze zupełnie mieszczan ze szlachtą, ale zapewniono im wolność nabywania dóbr ziemskich, dostęp do godności duchownych, urzędów cywilnych i wojskowych. Zajęcia miejskie, to jest handel i przemysł zrównane zostały w zacności swej z zajęciami rolników, przywrócono miastom samorząd, wolność od sądownictwa szlacheckiego, pozwolono im wybierać przedstawicieli, którzy mieli w sejmach przedstawiać żądania i potrzeby mieszczaństwa polskiego.

Ustawa 18 kwietnia przyjęta została z radością, była częściowem choć zadośćuczynieniem za dawne krzywdy, mieszczaństwo zyskiwało w państwie wybitne stanowisko i niedługo potem w powstaniu Kościuszki złożyło dowody dzielności swej i przywiązania do Ojczyzny. Na czele powstańców warszawskich, którzy ze stolicy państwa wygnali moskali, stał mieszczanin, szewc Kiliński...

Helena Witkowska.

Pogawędki naukowe.

Czy zwierzęta i rośliny bardzo się od siebie różnią?

W ciemnościach chyba, w nocy, zdarzy się wziąć krzak za żywe stworzenie. Zwykle bowiem widzimy ogromną różnicę pomiędzy roślinami i zwierzętami, tak wielką różnicę, że nikt wątpić nawet nie może, czy ma przed sobą zwierzę, czy roślinę. Porównaj np. drzewo z koniem. — Ale o takich porównaniach niema co i mówić, bo tu nie może być żadnego podobieństwa — powiecie.

Przecież pomyślmy trochę. Drzewo rośnie i koń rośnie, z małego staje się coraz większy. Drzewo odżywia się za pomocą korzeni i liści, wsysa z ziemi i z powietrza potrzebny dlań pokarm i dzięki temu żyje. Zwierzę również bez pokarmu żyć nie może. Gdybyśmy zamknęli roślinę w przestrzeni, gdzie nie ma powietrza, zginęłaby taksamo, jak zwierzę.

Popróbujmy, nie oddychać chwilę — nie możemy! Zaraz nam się słabo robi i jeśli nam co utrudnia oddychanie — zemdlejemy, a nawet udusimy się.

Drzewo oddycha wszystkimi liśćmi swymi, a człowiek i zwierzę tylko płucami. Co za ogromna różnica! Tam tysiące i miliony liści, które całą swą powierzchnią wciągają powietrze, a tu malutkie płuca zwierzęcia. Lecz okaże się, że i ta różnica nie jest tak olbrzymią. Zbadano bowiem, że płuca składają się z nieprzeliczonej ilości rozgałęzionych rureczek, zakończonych woreczkami, albo pęcherzykami. Są one tak małe, że dadzą się odróżnić tylko przez powiększające szkło, ale niemniej powierzchnia ich nie jest tak ograniczoną, jak się zdaje, wyliczono nawet,

że powierzchnia tych drobnych niteczek, ta przestrzeń wysysająca powietrze, nie jest wcale mniejszą od powierzchni wszystkich liści na drzewie!

Ważna zaś zachodzi różnica w tem, że rośliny oddychają inną składową częścią powietrza, niż ludzie i zwierzęta, wiadomo bowiem, że uczeni rozkładają powietrze na kilka części. Rośliny wdychają kwas węglowy a wydychają tlen, zwierzęta i ludzie przeciwnie, wdychają tlen, a wydychają kwas węglowy.

Wydychany gaz jest już zużyty, pożyteczne jego części zostały pochłonięte, zostają tylko części, które płuca wydzielają z siebie jako niepotrzebne. Widzimy, że w pokoju, gdzie jest dużo ludzi, powietrze jest ciężkie, daleko lżej można oddychać na dworze, a nawet gdzie jest zanadto dużo ludzi w jednem pomieszkaniu, a niema dopływu świeżego powietrza, może nastąpić uduszenie. Dlaczego to? Bo ludzie oddychając, wciągają w siebie ciągle tlen, aż pochłoną wszystek, jaki był w pokoju, wydychają zaś kwas węglowy, który dla oddychania jest na nic, a nawet zaszkodzić może. We Włoszech jest jedna pieczara, tak napełniona kwasem węglowym, że wrzucony do niej pies dostaje konwulsyj i zaczyna się dusić, bo niema tam tlenu.

Można mi powiedzieć, że skoro tak jest, to zwierzęta, wdychając w siebie przez całe życie tylko tlen, przez wiele, wiele lat pochłoną cały tlen na kuli ziemskiej, a w powietrzu zostanie tylko kwas węglowy i ludzie i zwierzęta się w końcu uduszą. Ale zapomnieliśmy, że są jeszcze na świecie — rośliny. One to właśnie tego kwasu węglowego potrzebują koniecznie, pochłaniają go stale i przemieniają potem w sobie na tlen, który wydychają. One to więc umożebniają istnienie zwierząt, jak też zwierzęta umożliwiają i ich istnienie.

Jeżeli włożymy ziemię, albo roślinę do naczynia, do którego świeże powietrze nie będzie miało dostępu, zginie bardzo prędko, ale przypatrzmy się naczyniu, zwanem „światkiem Lebicka", od imienia uczonego, który je wymyślał. Naczynie to jest szczelnie zamknięte, a w niem jest trochę ziemi, nad nią woda i jeszcze przestrzeń napełniona powietrzem. W wodzie rosną rozmaite rośliny i pływają rybki. I cóż się dzieje! Rybki, psując powietrze dla siebie, oczyszczają je dla roślin, te zaś ze swojej strony, psują powietrze dla siebie, a oczyszczają je dla rybek. I takie naczynie zamknięte stać może miesiące i lata bez dostępu świeżego powietrza, a zwierzęta i rośliny będą w nich żyć, rozwijać się i rozmnażać.

Ale wróćmy do podobieństwa między zwierzętami i roślinami. Powiadamy z pewną miną, że rośliny zawsze są nieruchome, zwierzęta zaś mogą się ruszać. Lecz to nie jest tak pewne, jak się zdaje. Zobaczmy najpierw, że rośliny odwracają swe liście w stronę słońca, niektóre nawet gdy liść odwrócimy, znów go odchylają. Słoneczniki zawsze są zwrócone w stronę słońca, dużo kwiatów na noc się odkrywa, a zamyka na dzień. Są rośliny, mimozy, które za lada dotknięciem wstrząsają się i zwijają listeczki. A zatem wykonywują one pewne ruchy. Dalej mamy w Ameryce roślinę, t. zw. muchołówką, i ma ona liście rozdzielone na dwie połówki ma tę własność, że jeśli mucha na listku usiądzie, obie połowy zamykają się, jak połówki orzecha, mucha uciec nie może: wtedy liść wydziela ze siebie płyn, w którym mucha tonie, rozkłada się i zostaje wssaną przez roślinę. Czyż nie jest ona podobna do zwierzęcia drapieżnego?

Ponieważ chodzi nam wogóle o porównanie roślin ze zwierzętami, bierzmy nie najlepiej rozwinięte z nich, tak jak drzewo, lub koń, ale drobne, mało znane, lecz umiejętnie badane przez uczonych.

Są zwierzęta tak małe, że gołem okiem dojrzeć ich nie można i budowę mają ogromnie prostą. Taka np. amebo, jest małą, bezkształtną masą, nie ma ani głowy, ani oczu, ani żołądka, ani nóg — nic. Jest to woreczek, który wsysa pokarm całą swą powierzchnią, a części niepotrzebne wydziela także przez tę samą skórę. Nie tylko można go wywrócić na wywrót, jak worek a on znów równie dobrze żyć będzie. Amebo swobodnie porusza się w wodzie, wydłużając naprzód to tę, to tamtą część ciała. Są rośliny, pływające w wodzie, np. toczek kulisty; porusza się on za pomocą rzęs, czyli kitek chwytnych. Wodorosty i zielenice w pierwszych chwilach swego rozwoju także swobodnie poruszać się mogą, bo nie są wcale przymocowane do gruntu.

A zatem rośliny nie koniecznie i nie wszystkie są nieruchome. Niektóre mają ruchy swobodne. A zwierzęta, czyż wszystkie się ruszają? I tego powiedzieć nie możemy. Korale n. p., które, jak powszechnie wiadomo, znajdują się na dnie morza, są niczem innem, jak grupką zwierząt. Jest to gromada polipów, które wsiąkają wewnątrz siebie pokarm i wydzielają ze siebie masę czerwoną, co jest siedliskiem całej rodziny, a my ją nazywamy drzewem koralowem. Zupełnie podobnem stworzeniem jest i gąbka.

Są zwierzęta takie, że uczeni sami odrazu dojść nie mogą, czy to są rzeczywiście zwie-



Artur Grottger: „Wojna“.

5. POŻOGA.



Artur Grottger: „Wojna“.

6. GŁÓD.

rzęta, czy rośliny, tak są podobne do jednych i drugich. I nawet różnica pomiędzy rodzajem wdychanego powietrza, staje się mniej znaczną.

Przekonaliśmy się zatem, że istnieje ogromne podobieństwo nawet pomiędzy wysoko rozwiniętemi jednostkami ze świata zwierzęcego i roślinnego, a na najniższym szczeblu rozwoju wszelka różnica się nawet zaciera. Bo w naturze niema przeszkód, odgraniczeń. Wszystko się łączy, zlewa w jedną całość, w jeden harmonijny szereg jestestw.

Co robić, gdy dzieci chrzypią.

Odpowiedź na to nie łatwa. Bo chrzypią dzieci z różnych przyczyn. Przy odrze, szkarlatynie, dyfteryi, krupie, zapaleniu gardła, influency, zapaleniu płuc, a często zwykłym katarze, zawsze dzieci „chrzypią“. To też ponieważ tak różną jest przyczyna „chrzypoty“, trudną jest i odpowiedź. Jeżeli idzie o ogólną zasadę, to jest ona wspólną przy wszystkich tych chorobach, a mianowicie trzeba pilnie baczyć, aby dziecka nie zaziębić. Ale nie znaczy to wcale, żeby dziecko trzymać w bardzo ciepłem miejscu. Przeciwnie ciepłota powinna być umiarkowana, ale *jednostajna*. To znaczy, trzeba pilnować, aby dziecka z ciepłej stancyi do sieni, albo na dwór, albo od pieca do okna nie przenosić. Mniej zaszkodzi chłodna ciepłota, ale zawsze jednakowa, aniżeli taka zmiana z gorącego do zimnego powietrza.

Gdy dziecko „chrzypi“, a przytem ciałko mocno się rozgrzewa, trzeba położyć je do łóżka, nosek wycierać mu często, żeby się śluzem nie zapychał, a gardło płukać (jeżeli dziecko starsze) czystą przegotowaną wodą. To wycieranie noska i płukanie gardła, oczyszcza po prostu drogi oddechowe i chroni od zatkania i możności uduszenia się. Gdy „chrzypota“ się wzmaga, a dziecko oddycha z trudnością, trzeba wezwać lekarza. Jeżeli w gardle są białe naloty tak, jak błonki lub płatki, jest to *dyfteryt*, który dawniej pochłaniał masę ofiar wśród dziatwy, ale dziś łatwo się leczy, przez zastrzyknięcie pod skórę t. zw. surowicy. Żadne może inne lekarstwo nie jest tak pewne, jak surowica na dyfteryt. To też każda matka, nie chcąc mieć później wyrzutu sumienia, przy dyfterycie powinna wezwać lekarza, a ten przez użycie surowicy z pewnością dziecku pomoże.

Jeżeli gardło jest tylko mocno czerwone, a na skórze całej zaczerwienionej występuje drobniutka, jak maczek wysypka, a dziecko wymiotuje i gorączkę ma dużą — jest to *szkarlatyna*, i tu również trzeba lekarza zawezwać, bo szkarlatyna również jak dyfteryt często śmiercią się kończy. Gdy dziecko chrzypi i kaszle, a na skórze występuje wysypka, w postaci czerwonych plamek, oddzielnych i większych, jak przy szkarlatynie krostek — będzie to *odra*, mniej od szkarlatyny groźna i zwykle kończąca się szczęśliwie. Ale po odrze gdy się dziecko zaziębi, przychodzi bardzo często zapalenie płuc i koklusz. Dlatego chociaż odra sama z siebie nie jest groźną, trzeba jednak dzieci pilnować, żeby się nie zaziębiły, bo zapalenie płuc po odrze jest prawie zawsze niebezpieczne.

Bywa także chrzypota i przy zwykłym katarze lub zapaleniu gardła. To cośmy mówili o zaziębieniu, da się i tu powtórzyć. Jednostajna ciepłota zawsze leczy lepiej niż inne lekarstwa. Dlatego to leżenie w łóżku jest przy chorobach wskazane, bo chory musi w jednem miejscu przebywać w konieczności i nie może się na zaziębienie narazić. Naturalnie łóżko nie powinno stać na przeciągu, ani przy piecu, ani przy oknie, a tylko gdzieś w spokojnym kącie izby. Płukanie gardła nawet przy zwykłem zapaleniu gardła także dobrze robi. A *zapalenie* zwykłe tem się różni od dyfterycznego, że w gardle na migdałach tworzą się białe kropki, jakby krostki, a nie błonki lub płatki, jak przy dyfterycie. Takie zwykłe zapalenie przechodzi bez wszystkiego i przy wiosennych i jesiennych słotach, bardzo często nas napastuje. Płukać gardło i trzymać dzieci w jednostajnej ciepłocie, oto jedyne rady, jakie Wam dać możemy.

K. B.

O sadzeniu ziemniaków.

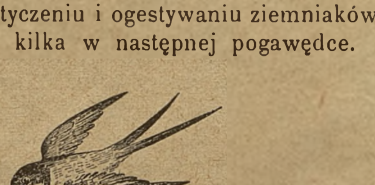
Z powodu błędów popełnianych przez naszych gospodarzy przy uprawie ziemniaków, plon ich znacznie się zmniejsza, to też gdy przy należytej uprawie można otrzymać 100 do 120 korcy a nawet i wyżej z morga, nasz wieśniak zbiera 40 do 60-ciu korcy. Upodobanie do jednej odmiany i uprawianie jej przez dziesiątki lat, jest jedną z przyczyn umniejszenia się plonu,

najlepsza bowiem odmiana ziemniaka, najdalej po 20-tu latach wyradza się zupełnie i nie opłaca kosztów uprawy. Co dziesięć, piętnaście lat należy zmienić odmianę, wybierając ją stosownie do ziemi i uprawy. Drugą przyczyną niskiego plonu ziemniaków, jest używanie do sadzenia krajanek, zawierających zaledwie jedno oczko, a w koło niego małą ilość materyi pokarmowej, której ilość stanowi o silniejszym rozwoju oczka, a następnie całego krzaczka ziemniaków; jak z niedorodnego ziarna jakiegoś zboża (pośladu), nie wyrośnie nigdy tak silna roślina, jak z celnego ziarna, tak samo z małej cząstki ziemniaka, zawierającej jedno lub zaledwie kilka oczek i małą ilość materyi pokarmowej, nie może wyrosnąć silny krzak o większej ilości dorodnych bulw. Krajanie ziemniaków na wysadki, ma na celu oszczędzenie ilości mających się wysadzić ziemniaków. Tam, gdzie używają do sadzenia największych ziemniaków, gdzieby więc wyszło ze 20 korcy do obsadzenia jednego morga dużymi ziemniakami, jest wskazanem zaoszczędzenie przy sadzeniu i będzie zupełnie rozumnem przekrajanie takich ziemniaków przez pół, aby na morg nie wyszło 20, ale tylko 10 korcy. Krajanie jednak choćby największych ziemniaków, na więcej jak dwie części (i to podłużnie a nigdy poprzecznie), nie jest już wskazanem, bo urodzaj z poćwiartowanych ziemniaków, będzie i musi być zawsze mniejszym niż z połówek, a ten ostatni będzie i musi być zawsze mniejszy, niż z całych. Co więcej plon z pokrajanych na pół dużych ziemniaków, będzie mniejszy, niż z całych średniej wielkości ziemniaków.

Jest niezaprzeczoną prawdą, że im większym jest ziemniak, użyty do sadzenia, tem większy wyda plon. Jeżeli tak jest, to przecie zupełnie nierozumnem i zupełnie fałszywie pojętą oszczędnością jest, używanie do sadzenia ćwiartek, ósemek a może i jeszcze mniejszych części ziemniaka. Dalszym błędem przy sadzeniu ziemniaków, jest zbyt wczesne ich wysadzanie. Jak każda inna roślina, tak też i ziemniak kiełkować i rozwijać się może dopiero wtedy, gdy ziemia otaczająca go odpowiednio do jego wymagań, ogrzeje się. Ziemniak posadzony za wcześnie, dla braku odpowiedniej ciepłoty ziemi, leży w niej bezużytecznie cztery, sześć i ośm tygodni, a często się zdarzy przy zmienności pogody naszych wiosen, że pierwsze kiełki zmarzną, a zanim rozwiną się na ich miejsce drugie (zawsze słabsze od pierwszych), upłynie sporo czasu i tym sposobem ziemniaki wcześniej wysadzone mają krótszy czas do swego rozwoju, niż ziemniaki we właściwej porze wysadzone. Mniejszy i gorszy plon ziemniaków wysadzonych za wcześnie, może pochodzić i stąd, że wysadzając świeże pocięte ćwiartki ziemniaka, narażamy je na ogniwanie w ziemi, przezco zmniejsza się i tak już skąpo wymierzona ilość materyi pokarmowej dla przyszłych kiełków.

Bardzo ważnym dla należytego plonu ziemniaków, jest odległość, w jakiej je sadzimy. Odległość ta powinna być stosowaną do jakości, siły ziemi i odmiany ziemniaka. Na ziemiach cięższych i silnych, oraz przy ziemniakach dużych, mających duże krzaki o bujnej bylinie (naci) można i należy sadzić ziemniaki całe na odległość 24 cali rządek od rządka, a między ziemniakami w rządku może być odległość na 18 do 24 cali. Im ziemia lżejsza, mniej silna, mniej zgnojona, tem rzędy powinny być węższe, a i odległość wysadzonych ziemniaków w rządkach należy zmniejszać. Jeżeli ogestuje się ziemniaki płużkiem, to najmniejsza odległość między rzędami musi wynosić 16 cali, bo inaczej koń z płużkiem między rzędami się nie zmieści. Tam, gdzie ziemniaki ogestuje się motyką, albo ręcznie przy sadzeniu małych ziemniaków lub połówek ziemniaka, można odległość rzędów (jeżeli ziemia tego wymaga) jeszcze więcej zmniejszyć, aż do 12 cali. Jeżeli ma przyjść pod ziemniaki gnój, to należy dać go z jesieni i płytko przeorać.

Dawanie gnoju z wiosną, powinno się odbywać jak najwcześniej — na długo przed sadzeniem, aby gnój miał czas się rozłożyć. Przykrycie gnoju na ziemiach cięższych, nie powinno być głębsze nad 3 do 4 cali, na lekkich można przykryć na 5 do 6 cali. Przykrycie za głębokie na ziemiach cięższych grozi storfieniem gnoju, przez co nie ma z niego pożytku; przykrycie zbyt płytkie, dokonane szczególniej z wiosną na krótko przed sadzeniem, grozi wydobywaniem go na wierzch, przy opatrywaniu, przez co znowu zmniejsza się jego pożytek dla ziemi i rośliny. Sadzenia ziemniaków najlepiej dokonać na płasko, sadzenie na uformowanych liszkach (grobelkach) może być praktykowanem tylko na ziemiach bardzo ciężkich, a przez to może w wilgotnych. O motyczeniu i ogestywaniu ziemniaków, powiemy słów kilka w następnej pogawędce.



List z kraju.

Radomyśl nad Sanem.

Nad brzegiem Sanu, w ziemi Sandomierskiej, a powiecie tarnobrzeskim, leży małe miasteczko Radomyśl, słynie ono w całej Polsce ze swych uroczystych obchodów 1863 r. Kiedy naród polski, nie mogąc dłużej znieść jarzma niewoli — powstał dnia 22 stycznia 1863 r., by Ojczyznę z pęt oswobodzić. — 27-miu Radomyślan poszło wtedy do powstania i z tych dwóch tylko wróciło — reszta poległa w obronie Ojczyzny, krwią użyźniając ziemię polską pod zasiew wolności. Corocznie w następnych latach odprawiano nabożeństwo za ich duszę, i urządzano obchody powstania, by uczcić pamięć bohaterów, którzy naród budzili do życia, którzy ponieśli krew, mienie i życie na ołtarzu Ojczyzny.

W tym roku uroczystość rozpoczęła się o godz. 10 rano żałobnem nabożeństwem za dusze poległych. Miejscowy proboszcz wygłosił okolicznościowe kazanie, tchnące głębokiem uczuciem patryotycznem, zaznaczając, że naród polski zginąć nie może, kiedy ma takich bohaterów, jak ci — co polegli, więc „Jeszcze Polska nie zginęła“.

W południe przez ulicę przeciągnęło wojsko polskie, składające się z kosynierów, ułanów i oddziału wolnych strzelców, zdążając ku cmentarzowi, zwanym „zniesieniem“, gdzie stoi krzyż dębowy na pamiątkę poległych bohaterów, i tu nastąpiły przemowy.

Poseł Bojko mówił o potrzebie oświaty. Pan Wojciech Wiącek, redaktor *Głosu ziemi sandomierskiej*, dziękował gościom za przybycie, a Radomyślanom za urządzenie obchodu, wskazując na to, że umiemy dla Ojczyzny umrzeć, niestety żyć i pracować jeszcze nie umiemy; zatem przemawiał akademik G. z Krakowa, w imieniu młodzieży polskiej. Po odśpiewaniu pieśni patryotycznych, ruszono z powrotem do miasta, gdzie o zmroku po parogodzinnej przerwie rozpoczęła się bitwa zajadła z moskalami, naturalnie udana.

Moskale po nieudanej zasadzce z wrzaskiem i wyciem, jak dzikie zwierzęta napadli na wojsko polskie, lecz zostali rozbici — i zwyciężeni sromotnie uciekli z pola bitwy, — a Polacy upojeni zwycięstwem, prowadząc jeńców za sobą, z tryumfem wracali do miasta przy dźwiękach pieśni narodowych. Obchód zakończył się amatorskiem przedstawieniem, na którem odegrano „Gwiazdę Syberyi“, brały w niem udział wyłącznie siły miejscowe. Ślicznie odegrano scenę, w której pracujący w katordze więźniowie, z wielkim poczuciem odśpiewali pieśń: „Nie dbam, jaka spadnie kara“.

Na obchód przybyli posłowie Bojko i Krempa, kilkaset osób z Mieleckiego, słuchacze i słuchaczki Wszechnicy Jagiellońskiej w liczbie kilkunastu, paru wieśniaków z Królestwa, oraz okoliczni włościanie z obydwóch stron Sanu. Podczas całego obchodu panował wysoce patryotyczny nastrój, podnosząc wśród zebranych ducha narodowego, dodając sił do dalszej pracy nad sobą i ludem.

Życzyć należy, aby piękny zwyczaj pielęgnowany przez Radomyślan, został rozszerzony i na inne okolice kraju, a że to nastąpi, świadczy wzrastające zainteresowanie wśród mieszkańców, świadczy liczny ich udział w obecnym obchodzie. Więc z wiarą w lepszą przyszłość narodu pracujmy przedewszystkiem, a wówczas zmartwychwstanie nasza Polska — wielka — potężna — ludowa — szczęśliwa i sprawiedliwa — co daj Boże!

To. Li.

W noc jesienną.

(Obrazek.)

Północ wybiła na ratuszowym zegarze. Gwar miejski uciszał się, ustawał turkot dorożek. Światła w oknach gasły, a nieliczni przechodnie skuleni i zziębnięci spieszyli do domów. Po szarym, dżystym dniu listopadowym zapadła noc ciemna i długa.

Wązką, źle oświeconą uliczką biegła, pomimo spóźnionej pory, samotna, płacząca kobieta. Weszła w bramę dużego domu, idąc po ciemnych schodach skręciła na poddasze i stanęła przed niskiemi drzwiami, z poza których dochodziły stłumione, urywane jęki. Walentowa cicho przekręciła klucz w zamku i weszła do niewielkiej, słabo oświeconej izby. Z pod chustki wyjęła butelkę z lekarstwem, po które chodziła do apteki i ostrożnie zbliżyła się do łóżka, gdzie leżał jej syn jedyny, już drugi tydzień chory na tyfus i mała była nadzieja utrzymania go przy życiu.

Strapiona matka usiadła na krawędzi łóżka, odgarnęła jasne kędziory, spadające chłopcu na rozpalone czoło i załzawionemi oczyma wpatrzyła się w swego jedynaka. Co się znim stało! Twarz rozogniona, wychudła, usta rozchylone, spieczone gorączką, szepczą jakieś wyrazy bez związku, policzki zapadły, a na nich wypieki niby choże szkarłatne plamy, pod zamkniętemi oczami sine doły!

— O mój Staśku, mój jedyny nie rzucaj mnie, zostań, żyj! Zbudź się, zbudź, uśmiechnij się do mnie — wołała zrozpaczona matka. — Przyniosłam ci, synku, lekarstwa chłodzące, sprobój, a może cię opuści ta zgniła gorączka, co cię trawi i toczy dzień po dniu, niby brzydki robak owoc zdrowy i piękny.

Walentowa nalała łyżkę lekarstwa do kieli-

szka i po kilka kropel usączała chłopcu do ust spieczonych.

Chory połykał z trudnością, naraz, nieprzytomny, odtrącił gniewnie rękę matki wołając:

— Nie chcę Kubika za ojczyma za nic i na matki weselu wina pić nie będę, wolę się napić trucizny! —

— La Boga! Staśku, co mówisz? — jąknęła Walentowa. — Możeś ty, na moich zrękowinach, dwa tygodnie temu, naprawdę struł się piwem czy słodką wódką? Chłopak był zdrów jak rzepa, jak ptak swobodny i wesoły, a dziś co?... Wysechł jak trzaska i do cna mi się zmarnował! Oj! dolo, moja dolo! Lepiej mi było nie znać Kubika i sercem do niego nie przylgnąć. Bywało nieraz sobie mówię: na co mi to kochanie?... zaniecham! Kiej coś ciągnie mię gwałtem do niego, zaniechać trudno! — I Walentowa spojrzała na złoty, błyszczący na jej palcu pierścionek, dar od narzeczonego, mularza Kubika. *(Dokończenie nastąpi).*

ROZMAITOŚCI.

Kilka słów o Bohdanie Zaleskim w setną rocznicę Jego urodzin.

Może nie wiecie, Kochane Czytelniczki, gdzie leży ziemia słynąca z bogactw natury, zwana Ukrainą. Oto leży ona daleko od nas na południowo-wschodniej stronie od Krakowa; w tej cudnej Ukrainie, a we wsi Bohatysce urodził się w roku 1802, a więc sto lat temu, poeta polski, Bohdan Zaleski. Kochał on tak czule i namiętnie swą matkę Ukrainę, jak ją zowie, że prosił Boga, aby po zgonie miał Ukrainę w niebie. — Uczył się Bohdan Zaleski w Humaniu, a potem lat kilka przebył w Warszawie. Po 1830 roku udał się na wygnanie do Francyi, gdzie mieszkał w jakimś cichym kącie na prowincyi, daleko od Paryża, i do niczego się nie mieszał, tylko tęsknił za swoją Ukrainą; miał on duszę dobrą, czułą, czystą i miękką, która w niepokoju i tęsknocie długo pozostać nie mogła, musiała szukać i znaleść uspokojenie i pociechę, więc znalazł ją w religii i w poezyi; tęsknotę swoją wylał w szeregu dum, dumek i pieśni ślicznych, które brzmią po całej Polsce, bo któż nie zna „Mazepy", „U nas inaczej", „Dumki Kosińskiego", „Do gitary", „Kojeń wiośnianych".

Do najlepszych utworów B. Zaleskiego należą: „Przenajświętsza Rodzina", „Duch od stepu", „Rusałki" itd. W „Przenajświętszej Rodzinie" opisuje nam poeta Świętą Rodzinę w Nazaracie, to jest Jezusa, Maryą i Józefa, jest to poemat bardzo piękny, lecz może jeszcze piękniejszym tworem Zaleskiego są „Rusałki", napisane językiem tak cudnym, niby dźwięk muzyki dalekiej a tęsknej, niby śpiew słowików, lub głos fletni wiejskiej, a zaczyna Zaleski poemat swój od ślicznych słów:

„Święć się, święć się wieku młody,
„Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
„Ideale wiary, cnoty
„I miłości i swobody".

Znów w innym wierszu tak mówi o młodości:

„Kwiat gdy wiosną nie rozkwita,
„Wcześnie uschnie na krzewinie;
„Myśl gdy młoda nie rozświta,
„Już się więcej nie rozwinie".

Zaś takie utwory, jak „Ladaco", „Śliczny chłopiec", „Co ja widział dzisiaj" — to odgłos pieśni ludowych, tych pieśni, które nazwał Mickiewicz, największy poeta polski, „przędzą uczuć i myśli", a o których powiada Bohdan Zaleski:

„Pieśni ludu — jedwabniki!
„Przędza na wiatr — lśniąca lekka;
„Ktoś jej doda kwietnej krasy,
„Umaluje — złotem przetka,
„I na wieczne — wieczne czasy
„Adamaszki i atłasy:
„Na królewskie gdzieś pokoje,
„A na dziewic wszystkich stroje".

Ten sam Adam Mickiewicz zalicza Bohdana Zaleskiego do najznakomitszych poetów słowiańskich, na co zgodzić się nie można, w każdym razie sąd ten dowodzi, że Zaleski należał do pierwszych poetów polskich. Bohdan Zaleski nie był zarozumiały i nie łaknął sławy wcale, on sam pisze:

„Błogo mi we śnie oczarowania i biada, jeśli się kiedy ocknę, chcę żyć jak dotąd żyłem, bez troski o sławę i bez obawy o sąd potomności. Czyż nie dosyć, kiedy z mogiły kilka piórek pozostanie, co ku niebu się wznosiły".

Tłumaczył też Zaleski ślicznie pieśni serbskie na polskie. Dzieła jego wychodziły w Petersburgu, Warszawie, Poznaniu i we Lwowie. Umarł Bohdan Zaleski w r. 1886. Cześć jego pamięci! *To. Li.*

Dnia 24 marca i 4 kwietnia b. r. przypadły dwie sto ósme rocznice zdarzeń, które w dziejach narodu naszego wiekopomne są i wielkie mają znaczenie. Mówię tu: o przysiędze Kościuszki i bitwie Racławickiej. Z tego powodu zaczynamy w dodatku obecnego numeru *Przodownicy* druk dłuższej opowieści z życia i czasów Kościuszki, tego największego polskiego bohatera, który zyskał w narodzie cześć nadkrólewską, bo gorąco kochał Ojczyznę, kochał lud i umiłował całem sercem wolność...

Zwłaszcza wieśniacy powinni go czcić jako swego obrońcę i opiekuna. Od czasu bowiem Kazimierza Wielkiego, królem chłopków zwanego, on pierwszy zaopiekował się naprawdę siermiężną bracią i starał się uczynić ją równą innym obywatelom kraju.

Biskup wileński. Pod zaborem moskiewskim, w krajach zabranych na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie dzieci wiejskie chodzić muszą do szkół, w których moskale usiłują odebrać im wiarę katolicką i nawrócić na prawosławie. Są to szkoły t. z. cerkiewno-parafialne. W niektórych miejscowościach innych szkół niema i ludność wiejska wybierać musi: albo zupełnie zostawiać dzieci bez nauki albo posyłać je do szkół, gdzie im odbierają wiarę ojców i usiłują z nich zrobić moskali! Nieszczęsne to ofiary groźnej przemocy!

Biskup wileński ks. Zwierowicz w otwartym okólniku zakazał włościanom posyłać dzieci do tych szkół. Za co padła nań sroga niełaska cara i odpokutuje on za szlachetną odwagę wygnaniem. Ale chwała mu i cześć, że się ujął za świętą sprawą, chwała tem większa, że się sam naraża! Cóż jednak dla Polaka prawdziwie szlachetnego znaczy prześladowanie wrogiego rządu w obec czystości sumienia i duszy, że się spełniło swój obowiązek!

Polak nie powinien się szczycić zaszczytami i dostojeństwami zdobytemi w którymkolwiek z trzech zaborów, bo te dostojeństwa dane nam są z rąk wroga, czychającego na braci, na ziemię, mowę i wiarę naszą!! Takie dostojeństwa chwały nie przynoszą! Prawdziwą jedynie chwałą dla Polaka jest zdobyć uznanie, miłość i wdzięczność współbraci, wdzięczność noszoną w głębi serca, ale głęboką, szczerą. Taką jest jedyna możliwa chwała dla Polaka.

Rocznica powstania Kościuszki. W wielu miejscowościach urządzano teraz dnia 24 marca uroczyste obchody, nabożeństwa i odczyty ku uczczeniu rocznicy powstania Kościuszki w roku 1794. Uczucie gorącego uznania i czci wspominanego wszędzie bohatera naszego, jest bardzo piękne ale obchody takie powinny po za tem być bodźcem do pracy, do czynu, do podnoszenia uczuć narodowych, a te nas doprowadzą do odrodzenia Ojczyzny naszej!

Składki na ofiary prześladowane. Nietylko cały kraj polski pospieszył z nadsyłaniem składek na rzecz ofiar poznańskich i w Królestwie, ale i Polacy zamieszkali w Ameryce nie zapomnieli o swej braci cierpiącej. Przysłali oni za pośrednictwem Redakcyi „Nowej Reformy“ w roku bieżącym kwotę 12034 Koron 40 halerzy. Ci ludzie oddaleni od nas o tysiące mil, odgrodzeni lądami i morzami czują jednak, że są naszymi braćmi, że stanowią z nami jedność.

Wszyscy Polacy winni brać z nich przykład. Polak uczciwy, gdzieby los jego nie rzucił do najdalszych chociażby krajów, do całkiem obcych ludzi, moskali, niemców czy anglików, zawsze musi czuć się bliskim tylko Polakom i nigdy nie zapominać, że płynie w nim krew polska.

W szkole wrzesieńskiej, jak donoszą *Dziennikowi Poznańskiemu*, usiłują nauczyciele „dobrocią“ nakłaniać dzieci oporne, aby odpowiadały po niemiecku, wpływają także na rodziców tych dzieci. I tak, matce małego Klimasa, który należał także do dzieci bitych 20 maja, przyrzeczono, że otrzyma z powrotem 3 marki zapłacone jako kara za żmudę szkolną i że doniosą o tem cesarzowi(!) aby wiedział, jaka to dobra kobieta ta Klimasowa; oświadczono jej też, że skoro tylko syn jej Bronisław, odpowie po niemiecku, zaraz uwolniony będzie ze szkoły, podczas gdy w przeciwnym razie uczęszczać będzie do 15 roku. Matka tymczasem stanowczo odpowiedziała odmownie, a i syn, jakkolwiek obawiał się nowej chłosty — nie ustąpił, lecz dalej milczy.

Dzielny lud, dzielne dzieci!

Chłopi a Września. Otrzymaliśmy dzisiaj kwotę 8 kor. 72 h. od wójta gminy Tarnowca (pow. tarnowski) wraz z listem następującej treści: Szanowna Redakcyo! Gdy tyle ciężkich krzywd niegodziwy i nieludzki „Krzyżak“ zadawał narodowi polskiemu, został swojego czasu przykładnie pod Grunwaldem ukarany. Ponieważ zapomnieli oni widocznie o swoim pogromie, zapomnieli o Bogu i sprawiedliwości, czego dali dowód, katując w nieludzki sposób polskie dzieci we Wrześni, mamy nadzieję, że kara boska niedługo ich spotka, bo kogo chce Pan Bóg karać, to mu rozum odbiera, a katowaniem nieludzkiem dzieci, rozumu i sprawiedliwości chyba nie dowodzą. Racz Wielmożna Pani Redaktorko przyjąć ten skromny datek, zebrany między dziećmi szkolnemi w gminie Tarnowcu koło Tarnowa i prześlej tę kwotę biednym sierotom we Wrześni od polskich dzieci naszych, głęboko krzywdę ich czujących. Z poważaniem *Michał Broniec*, wójt gminy Tarnowca koło Tarnowa“.

List powyższy i groszowe datki włościan naszych na Wrześnię stanowią jeden z licznych dowodów, że lud nasz uświadamia się coraz bardziej narodowo, a rwąc się do brania udziału w życiu ogólno-narodowem, napawa nas otuchą lepszej przyszłości. Udziałem swym w gorącem i powszechnem ujawnieniu narodowem, jakie wywołała sprawa wrzesińska, dał lud nasz

dowód, że sprawy ogólno-narodowe nie są mu obce, że dolę całego narodu odczuwa gorąco.

Za mówienie po polsku. *Gazeta Gdańska* donosi: Nauczyciel Wróblewski z Petoczyna (Prusy Zachodnie) mówił do swojej służącej po polsku przy studni; za to zasądzony został na zapłacenie kary 30 marek. Pan Wróblewski te 30 m. zapłacił!

Oburzenie w kościele praskim. Praga. Kościół OO. Kapucynów pod wezwaniem św. Józefa był onegdaj widownią następującego zdarzenia:

O 10 przedpołudniem jeden z księży zaczął wygłaszać kazanie o św. Józefie po niemiecku.

Nagle powstała ogromna wrzawa i dały się słyszeć okrzyki: „Nie chcemy niemieckirgo kazania, proszę kazać po czesku“!

Gdy się uspokoiło, ksiądz dalej wygłaszał swoje kazanie w języku niemieckim. Ale wówczas krzyk i hałas wzmogły się do tego stopnia, że ksiądz musiał przerwać kazanie, poczem publiczność tłumnie opuściła kościół.

Usuwanie języka polskiego. Siedemnaście polskich towarzystw w Poznańskiem otrzymało polecenie, aby od dnia 1 kwietnia prowadziły obrady tylko w języku niemieckim.

Mroźne burze w Ameryce. Nowy York. Podczas ostatniej mroźnej burzy, która dnia 30 marca b. r. szalała w Stanie Dakota, zginęło 10.000 owiec, 5.000 sztuk bydła i 600 koni. Na kolei Great Northern zamarzły w pięciu wagonach konie i jeden wielki transport bydła.

W urzędzie wydawniczym *Gazety Opolskiej* policya pruska zabrała 2 okazy „Kalendarza powszechnego“ K. Wojnara i 1 okaz kalendarza „Gospodarz“ tegoż wydawcy. Powodem do zaboru jest umieszczony w obu kalendarzach wiersz p. t. „Nie zginęła“.

Zgon w więzieniu. Dnia 9 maja r. z. aresztowano na Wołyniu w Kowlu, Zygmunta Langa, poddanego austryackiego rzekomo za przewiezienie 2000 egzemplarzy jakiejś broszury. Aresztowanego osadzono tamże w więzieniu, a według nadeszłej do Lwowa wiadomości, więzień zmarł 6 września r. z. na suchoty. Zarząd więzienia kowelskiego odmawiał długo powiadomienia co do uwięzionego, aż za pośrednictwem ambasady austryackiej w Petersburgu postanowił się po upływie pół roku dać odpowiedź rodzicom nieszczęśliwego młodzieńca.

Strój narodowy. We wsi Bornelu w Pleszowskiem, donosi *Dziennik Poznański* — sołtys Szczepański za to, że wkładał sukmanę oszytą sznurkami i palone buty, jak to jest w zwyczaju u włościan, otrzymał od landrata upomnienie na piśmie, że wywołuje swym strojem publiczne oburzenie(!), bo strój ten przełożonemu gminy nie przystoi(!). Zakazuje mu więc landrat noszenia tego stroju wtedy, gdy występuje jako sołtys, grożąc, że jeśli się nie zastosuje do rozkazu, postara się o usunięcie go z urzędu. Zakazują więc prusacy nosić strój norodowy, swojski, jak gdyby on ujmę przynosił, jakby hańbił!

Odczyty. Młodzież akademicka krakowska, zorganizowana w stowarzyszenie „Szkoły ludowej“ postanowiła ogłaszać odczyty po wsiach. Spotyka ona jednak trudności ze strony starostów, którym widocznie chodzi o to, aby lud nasz nie wiedział nic, co się na świecie dzieje, jak inni ludzie czują i myślą. Jest to ubliżające dla ludu polskiego. On to z pewnością odczuje i zrozumie, kto mu największego dobra życzy, gromadząc się tłumnie na odczyty i słuchając ich uważnie, odniesie dużą korzyść i tem sowicie wynagrodzi młodzieży jej trudy podjęte na korzyść ludu przez miłość dla niego.

W sprawie rozbudzenia u włościan zamiłowania do ogrodnictwa i pszczelnictwa, wydało właśnie Zjednoczone galic. Towarzystwo dla ogrodnictwa i pszczelnictwa odezwę, w której porusza myśl wydania osobnej ustawy krajowej wkładającej na zarządy gmin wiejskich obowiązek zasadzania drzew owocowych na gruntach gminnych, po obu stronach dróg publicznych i polnych, po miedzach, a także na pastwiskach gminnych. Dochód z tych drzew owocowych tudzież z pasieki, powinien stanowić część majątku gminnego, a wspomniane Towarzystwo sądzi, że przy należytem wykonaniu wydać się mającej ustawy przez zwierzchności gminne pod opieką wydziałów powiatowych, mogłyby te drzewa owocowe i pasieki stać się dla gmin źródłem stałych i bardzo poważnych dochodów. Oczywiście, że wydać się mająca ustawa nakładać powinna surowe kary za wszelkie uszkodzenie gminnych drzew owocowych i zrywania z nich owoców.

Mamut. Na Syberyi, w górach lodowych znaleziono mamuta. Jest to zwierzę przedpotopowe i dziś wcale już na ziemi nie istniejące. Mamut ten ściśnięty pomiędzy bryłami lodu, setki a może tysiące lat przeleżał, nie ulegając wcale zepsuciu, dzięki otaczającym go lodom. Wydobyto go teraz i okazało się, że mięso nie miało nawet żadnego zapachu. Jest to okaz wysoki blisko na 5 łokci, kształtami mocno przypominający słonia ze znacznemi jednak różnicami. Waży on około 200 pudów; rozdzielony został na 20 części i na 20 saniach wywieziony. Zostanie on pewno wypchany jako osobliwy okaz zwierząt, które na całej kuli ziemskiej wyginęły przed wiekami.

Ofiara zabobonu. O strasznym wypadku donoszą z Bytowa w Prusiech:

W pewnej wiosce, piszą, zabito wściekłego psa i wrzucono go do rowu. Po kilku dniach wydobyto psa z rowu, aby łeb posłać do Berlina, celem stwierdzenia wścieklizny. Przytem zauważono, że pies był rozpruty i serce było wyjęte. Nikt na razie nie mógł sobie tego wytłómaczyć. Niedługo jednakże rzecz się wyjaśniła. Córka miejscowego nauczyciela powróciła

z domu obłąkanych. W wiosce znalazło się kilka „mądrych“ bab, które uradziły, że „choroba“ z pewnością się powtórzy, jeżeli córka nauczyciela nie ugotuje i nie spożyje serca psa wściekłego. Sposobność nadarzyła się dość prędko. A skutek zabobonu spytacie? Oto dziewczyna po spożyciu „lekarstwa“ zachorowała na wściekliznę i skonała wśród okropnych męczarń.

Zupa z jarzyn. Marchwi sztuk 8, pietruszek 5, selerów 2, kapusty drobno pokrajanej 1 główkę, kalarep 2, cebul 2, wszystko pokrajać w talarki i podłożywszy trochę masła dusić w rądelku, podlewając wodą, żeby się nie przypaliło. Gdy będzie to wszystko miękkie, wkrajać jeszcze 6 ziemniaków, a gdy się ugotują, całą tę masę przetrzeć przez sito, wlać do tego wody gotującej się do woli, jaką kto woli zupę, rzadką lub gęściejszą, zapalić trochę mąki z masłem i jeszcze raz zagotować, wolno mięszając. Do tego chleb razowy. Zupa tania i doskonała.

Sery zwyczajne. Po zebraniu śmietany stawiają się garnki z dzieżkami na bardzo umiarkowanem cieple, najwięcej 40° Reaumura, najlepiej wstawić w piec po wyjęciu z niego chleba. Gdy się zupełnie serwatka oddzieli, wyjmuje się dzieżki z pieca i zostawia do zupełnego wystygnięcia, następnie zlewa się twaróg w czyste kończaste worki, które gdy ścieknie z nich serwatka, kładą się na stolnicy pochyło postawione, i przyciskają deseczką i kamieniem z początku lekko, później coraz mocniej i po upływie 12 godzin sery wyjmują się ze środka, lekko solą i suszą się w lecie w miejscu przewiewnem, w zimie zaś w bliskości pieca. Wysuszone przechowywać w garnkach glinianych przekładane słomą, i gdy nieco spleśnieją obmyć serwatką i znów obsuszyć.

Drogie nam Czytelniczki i Czytelnicy! W kwietniowym numerze zaczynamy Was zaznajamiać z szeregiem prześlicznych obrazów Grottgera, pod tytułem „Wojna“. Obrazów tych będzie 11. Po dwa lub jednym będziemy Wam przesyłać przy każdym numerze *Przodownicy.*

Jeżeli Bóg pozwoli doczekać, to w roku przyszłym poznamy Was z obrazami, wyobrażającymi cierpienie „Polonii“, czyli Polski. Nikt dotąd nie umiał, i nie przedstawił tak cudownie a z taką prawdą, niedoli Ojczyzny naszej, jak Artur Grottger. Dlatego uważamy sobie za pierwszy obowiązek, poznać Was Drogie nam Czytelniczki i Czytelnicy, z tem arcydziełem sztuki polskiej.

Wapno w kurnikach. Jako niezawodny środek ochraniający kurniki od robactwa poleca prof. Zuern, wapno sproszkowane. Prof. Zuern pisze: Używałem najróżniejszych środków, ale bez skutku. Następnie zacząłem używać wapna, szczególnie, aby zapobiedz ulatnianiu się amoniaku z kurzych odchodów. Wkrótce spostrzegłem, że kury nie mają wszy i są wszystkie bardzo zdrowe. Nadto w kurniku odtąd nigdy nie było zaduchu, aczkolwiek wyrzucałem nawóz tylko dwa razy do roku. Wapna używa się w ten sposób: Kilka garści wapna sproszkowanego rozsypuje się po ścianach. Proch wapienny wciska się we wszystkie szpary i niszczy wszystkie żyjątka, reszta spada na podłogę i zamiata się z odchodami do kąta. Najlepiej zatem rzucać z kilka garści o sufit a wapno się rozpyli. Drób powinien być wypuszczony na dwór, podczas tej czynności.

Dlaczego przemarzłe ziemniaki są słodkie i co na to robić? Ziemniak jest istotą żywą, odbywają się w nim przemiany, przy których ciągle mała cząsteczka skrobi (mączki) przemienia się w cukier, a ten cukier dalej się przemienia, a produkta tej przemiany ulatniają się przez powierzchnię ziemniaka. To możnaby nazwać oddychaniem. Pod wpływem zimna, ziemniak przestaje oddychać, a więc cukier w nim się zatrzymuje i powoduje słodki smak. Jeżeli takie ziemniaki damy na kilka dni do ciepłego budynku, to one znów zaczną oddychać, pozbędą się cukru i odzyskają smak prawidłowy.

Przestrzegamy przy tej sposobności przed spasaniem ziemniaków z kiełkami. Silna trucizna mieszcząca się w kiełku „solaniną“ zwana mogłaby inwentarz zatruć. Przed spasaniem należy kiełki poobłamywać starannie.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Szan. Elżbiecie Z. Za list Wasz serdecznie dziękujemy, a na pytanie Wasze co do alkoholu w ziemniakach, odpowiadamy co następuje:

Otóż z naukowego stanowiska wziąwszy rzecz, w ziemniaku niema alkoholu czyli spirytusu gotowego, lecz jest w nim tak samo jak w życie, jęczmieniu itp. ziarnach, materyał na spirytus w postaci mączki czyli krochmalu, a ten przy fermentowaniu w gorzelni przemienia się w cukier. Skosztujcie trochę zacieru w początkach fermentacyi, a przekonacie się, że smak jego jest słodki.

Powstały w ten sposób, przez przemianę krochmalu cukier, przemienia się dalej. A mianowicie pod wpływem działania drożdży rozpada się ten cukier na dwie części, to jest na spirytus i kwas tak zw. węglowy. Spirytus więc wytwarza się dopiero podczas fermentowania w gorzelni, a w surowym ani w ugotowanym wprost ziemniaku go niema.

A dalej: przez gotowanie ziemniaków spirytus ów wytworzyć się nie może. Przeciwnie, gdyby się nawet spirytus w jakimś płynie lub potrawie znajdował, to właśnie przez gotowanie znaczna jego część się ulotni czyli w postaci pary w powietrze odejdzie. Pamiętajcie bowiem, że

gotowanie wymaga aż 100° ciepła, a spirytus paruje przy znacznie niższej ciepłocie. Gotowanie nawet późniejszej fermentacyi przeszkadza, bo zabija drożdże, które są istotkami żywemi, co 100° przetrzymać nie mogą. Wiecie przecież, że zbyt gorącą wodą zaczynione ciasto nie rośnie, a nie rośnie dlatego, że gorąco drożdże zabiło.

A zatem „sekulatce" szkodzi nie „spirytus„ bo go tam niema, ale jej zbyt mała pożywność, która zmusza żołądek nasz do pracy trawienia, nie dając w zamian żadnego pożytku.

O fermentacyi i o wytwarzaniu alkoholu damy w *Przodownicy* osobny artykuł.

Na pytanie Szanownej Kozikowej w jaki sposób z gospodarstwa wiejskiego można uzyskać grosz na przyodziew, na naukę dla dzieci i przyspożyć oszczędności na dokupienie kawałeczka gruntu, opłacenie podatków i t. d. odpowiadamy, że gospodarstwo wiejskie, droga Czytelniczko, daje tysiączne sposobności zebrania grosza, tylko trzeba je chcieć poznać a potem przystosować. Naprzykład z gospodarstwa domowego wiejskiego, najkorzystniejszą jest umiejętna hodowla drobiu, krów, świń.

Dalej z mleczarstwa. Z mleka, oprócz masła i sera wyrabiać można rozmaite gatunki serów, które pokaźny dochód przynoszą gosposiom skrzętnym i pilnym.

Dobre jarzyny, kwiaty, zioła, to również źródła obfitych dochodów. Ileż to marnuje się pustych trawników, kawałów ziemi niezaoranych, albo zaniedbanych. Ile to brzegów koło dróg, rzek, stawów, nie wyzyskanych. A gdybyśmy te skrawki ziemi zaorali, oczyścili z chwastów, kamieni i zasadzili drzewa lub krzewy owocowe, jakże to miłem byłoby dla oka naszego, a jeszcze milszem dla kieszeń naszych, bo owoce z tych drzew można spieniężyć, jagody z krzewów przerobić na wino owocowe, którym nie tylko swoich raczyć można, ale również wynieść na targowisko dla zbytu. Ile to nieraz przejdzie się wiosek i nie zobaczy oko tych nietylko miododajnych, ale pieniądzodajnych uli. Dawniej każdy gospodarz, jeżeli nie był w stanie utrzymać całej pasieki, to choć parę uli pielęgnował dla własnej potrzeby. Utrzymanie tychże nie kosztowne, a jest z nich wielki użytek, a jaki, to już chyba Wam mówić nie trzeba, bo same o tem wiecie, drogie Czytelniczki.

Naprzykład, ile to sadzawek, bezużytecznych potoków marnieje, a przecież możnaby z nich wyciągnąć dla siebie jakąś korzyść. Bez wielkich kosztów można założyć stawki na hodowlę karpi, linów, sandaczy, pstrągów i innych gatunków dobrze płatnych ryb. U nas ryby to zbytek, bo są drogie, a drogie dlatego, że mało zajmują się wieśniacy ich pielęgnowaniem. A ryba to smaczny kąsek i łatwo go spieniężyć można na targach i jarmarkach.

Oto mniej więcej kilka podajemy przykładów, z których można mieć piękny dochód. bez wielkich wkładów pieniężnych, tylko trzeba poświęcić trochę czasu i rąk do pracy. Pouczenie, jak to wszystko urządzić, to łatwa bardzo rzecz, bo są rozmaite czasopisma, z których czerpać można wiadomości, jak też Stowarzyszenia, które w każdej chwili służyć mogą swą radą i wskazówkami bezinteresownie. A i *Przodownica*, jak już przekonałyście się drogie nam Siostry Czytelniczki, odpowiada Wam na każde pytanie, zamieszcza żądane przez Was rady i wskazówki, chętnie więc, zawsze i w każdej chwili odpowiadać Wam będzie, tylko piszcie, żądajcie rad.

Znałam jedne właścicielkę gospodarstwa wiejskiego, gospodarstwa małego, która dochodem z mleka (wyrabiała śliczne małe i duże sery, w rozmaitych gatunkach), z owoców, jarzyn, jagód i kwiatów, ze sprzedaży dochowanego inwentarza, wykształciła czterech synów i dwie córki. Czterech synów było na nauce w Krakowie i skończyli nie tylko szkołę ludową i gimnazyum, ale uniwersytet i dziś jeden jest doktorem, drugi profesorem, trzeci adwokatem, a najmłodszemu oddała gospodarstwo. Ten już objął pięknie zagospodarowany grunt, ogródek, pasieki. Z pieniędzy przez matkę zaoszczędzonych dokupił inwentarz, budynki ponaprawiał i dziś jest zamożnym kmieciem, pierwszym na całą okolicę gospodarzem światłym i uczonym.

Córki wywianowała, które do Królestwa powychodziły zamąż za bogatych gospodarzy i wyuczyła gospodarstwa, a te wchodzą w jej ślady. Ta kobieta mogłaby służyć za wzór i przykład Wam wszystkim, drogie Czytelniczki.

Sz. Józefowi Cegła donosimy, że pisemka fachowego dla szewców nie ma u nas w Galicyi. Ale jest szkoła, czyli kurs dla majstrów i czeladników — kurs szewski w Krakowie. Nauka tam bardzo dobrze jest prowadzoną. Kurs taki trwa dwa miesiące tylko. Za naukę nic się nie płaci, a kto się chce zapisać na taki kurs, musi wnieść podanie do Wydziału krajowego we Lwowie, z prośbą o przyjęcie. Kurs taki zwykle bywa otwarty w miesiącach lipcu i sierpniu. Na miesiąc przed otwarciem miejscowe dzienniki ogłaszają dzień wpisu.

Od Administracyi.

Przodownicę wysyłamy regularnie wszystkim, co ją zaprenumerowali — nie nasza wina, jeżeli niedochodzi — ale wina poczt lub wiejskich listonoszów. Kto tego pisemka nie otrzymuje z poczty, niech reklamuje do administracyi. Przypominamy o zaległych prenumeratach, prosząc o ich nadsyłanie pod adresem Administracyi.

Przedruk artykulików z *Przodownicy* jest niedozwolony.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siędlecka.**
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 4 „Przodownicy" z r. 1902.

O TADEUSZU KOŚCIUSZCE.

Przez M. T. P.

PRZEDMOWA.

Serdeczne Siostry i Najmilsi Bracia!

W głównej sali Muzeum Narodowego w Krakowie, znajduje się olbrzymich rozmiarów obraz, malowany przez Jana Matejkę, a noszący nadpis: „Lud krakowski wita Tadeusza Kościuszkę po odniesionem zwycięstwie pod Racławicami". Obraz ten, którego wierne naśladownictwo w każdym domu polskim znajdować się powinno, wywiera na patrzących nadzwyczajne wrażenie; budzi bowiem w sercach naszych zapał, przez uprzytomnienie wspomnień szczęśliwszej przeszłości, a zarazem napełnia dusze błogą nadzieją lepszej dla Ojczyzny doli, kiedyś... może da Bóg, w niedalekim czasie.

I starzy i młodzi, i bogaci i ubodzy, i mężowie i kobiety i dzieci, i panowie i mieszczanie i chłopi spieszą przed obraz ten — a patrząc na szlachetne oblicze naczelnika Kościuszki, i na zachwyt tryskający z oczu garstki bohaterskich kosynierów w sukmanach — krzepią się wiarą w odrodzenie Polski, szepcząc sobie z cicha: „Będzie lepiej"...

Oj będzie, będzie, Najmilsi! lecz wtedy, gdy wszyscy wskrzesimy w głębi dusz naszych tlejący płomień miłości Boga i Ojczyzny — gdy wszyscy mieszkańcy polskiej ziemi, jak długa ona jest i szeroka, w zgodzie a miłości bratniej chwycimy się za ręce i staniemy murem broniąc wytrwale najdroższych skarbów po przodkach odziedziczonych w spuściźnie, to jest: wiary ojców, mowy rodzinnej, szmatu ziemi, na której urodziliśmy się i gdzie też kości nasze złożyć powinniśmy — słowem, gdy wziąwszy sobie za wzór taki cichy, szlachetny, pełen poświęcenia i trudu a pracy dla Ojczyzny, żywot Tadeusza Kościuszki — wyrobimy w sobie moc charakteru i wielkość umysłu, bez czego nigdy nie osiągnęlibyśmy tyle upragnionego celu: zbawienia Ojczyzny.

„Ale czem się to dzieje" — spytacie może Najmilsi! „że samo wymówienie imienia Kościuszki, wstrząsa sercami całego narodu i niewymowną czcią nas przejmuje?"

Otóż w opowiadaniu tem chodzi mi właśnie o to, aby tak przedstawić Wam postać bohatera z pod Racławic, iżbyście nietylko sercem przeczuć, ale i umysłem dokładnie wyrozumieć mogli, ile to Polska cała winna jest Kościuszce. Chcę zwrócić Waszą uwagę przedewszystkiem na to, o czem wiedzieć i pamiętać obowiązkiem naszym, że Tadeusz Kościuszko ani nazwiskiem, ani majątkiem, ani nawet zdolnościami swemi, lecz jedynie ogromem cnoty i poświęcenia dla sprawy ojczystej, uratował naród polski w najtrudniejszej chwili zwątpienia z upadku. Kościuszko własnym zapałem rozgrzał i ożywił naród, natchnął rodaków szlachetną dążnością odzyskania swobody, zachęcił ich do składania ofiar na rzecz Ojczyzny, odwiódł od leniwego spuszczania się na obcą dobrą wolę i łaskę, nakłonił do pracy i wzbudził na nowo przygasające już pragnienie sławy. I dlatego to na potężny głos hetmana w sukmanie, zabiły miliony serc polskich i tysiące rąk podniosło sztandar wolności.

A więc wczytujcie się Najmilsi w opis żywota tego najszlachetniejszego człowieka, którego cnocie nietylko my, ale nawet zawzięci wrogowie Polski hołd winny składają. Wczytujcie się w te karty, i niechaj przykład tego nieskalanego niczem serca przyświeca wam, jak gwiazda przewodnia, kierująca niepewnymi krokami wędrowców. Każdą myśl, każde uczucie, każdy czyn świetlanej duszy naszego bohatera, przetrawcie wewnątrz dusz waszych i nastrójcie życie własne na modłę jego ideałów. Starajcie się być mu podobnymi — uczcie się od niego poświęcenia i zaparcia siebie — łagodności, wyrozumiałości dla drugich a surowego sądu dla swych czynów — wstępujcie w ślady tego, który wskazał nam drogę do odrodzenia się przez rozszerzanie światła w narodzie i przez coraz to silniejsze zacieśnianie węzłów braterskiej miłości...

Słuchajcież tedy!

WSTĘP.

Po kilkowiekowej świetności, Polska już od połowy XVII. stulecia, zaczęła chylić się ku upadkowi. Różne się na to złożyły przyczyny. Z jednej strony ciągłe walki z Turkami i Tatarami, z Moskwą, Szwedami i Kozakami; z drugiej powolne, ale bezustanne psucie się obyczajów w narodzie, prawie zupełne zobojętnienie na to, co dotąd stanowiło główne cechy domowe i obywatelskie — coraz bardziej szerzące się uczucie zawiści, niezgody, niewyrozumiałości religijnej — wreszcie ospałość i dziwna chęć zrzucenia z własnych ramion odpowiedzialności za czyny i po-

cieszanie się bezrozumną nadzieją, streszczoną w słowach: „Jakoś to tam będzie“!

Od króla i najwyższych dostojników Rzeczypospolitej, aż do ostatniego nędzarza w siermiędze, któremu wszelkich praw odmówiła szlachta, wszyscy opuścili bezwładnie ręce i pogrążywszy się w bezmyślnem lenistwie ducha — używali życia, każdy dla siebie, bez pamięci o jutrze, bez troski o swych następców.

To też jedna za drugą spadały na naród klęski wojenne, a zubożenie materyalne i utrata znaczenia politycznego i wpływu na obce mocarstwa, stawały się z rokiem niemal każdym widoczniejsze. Coraz mniej liczono się z nami, coraz więcej pozwalano sobie lekceważyć nas, a nawet znieważać, bo przekonano się powszechnie, że bezkarnie puszczamy krzywdy Polsce wyrządzone. Od czasu panowania nieszczęsnej pamięci Sasów, stały granice naszej Ojczyzny dla sąsiadów zupełnie otworem. Moskale, Prusacy, słowem kto chciał, wchodził w ziemie Rzeczypospolitej i gospodarował w niej, jak w zdobytym kraju. A szlachta piła, jadła, bawiła się lub kłóciła z sobą, zrywała sejmy, gniotła srogą niewolą chłopków, prześladowała innowierców — magnaci zaś, albo na dworach obcych dosługiwali się łask i orderów, albo wichrzyli w kraju własnym i zaprzedawali go wrogom.

Co prawda, nie brakło i wtedy ludzi, ożywionych innym, jak ogół społeczeństwa duchem, ludzi szlachetnych, rozumnych, którzy pojmowali całą szkaradę takiego życia z dnia na dzień, i przewidywali bliskie niebezpieczeństwo. Ci więc radzić na to złe chcieli, a nie wzdrygając się przed żadnym trudem i poświęceniem, pracowali gorliwie, aby naród szybkim krokiem do zguby dążący, nad przepaścią zatrzymać. Lecz że garstką tylko byli i to jeszcze garstką rozerwaną niezgodą, więc piękne usiłowanie ich nie przyniosły zdrowych owoców.

Sam król Stanisław August Poniatowski — chociaż za wpływem Moskwy na tronie osadzony — miał wiele dobrych chęci. Nie posiadał jednak ani odwagi, ani siły, ani dość charakteru, aby zbawienne swoje zamysły w czyn przeprowadzić — a nie poparty przez nikogo, zgnuśniał, jak i inni — i dziś na karcie dziejów imię jego zapisane jest, ognistymi zgłoskami ze krwi i łez narodu. Albo i najbliższa rodzina króla: Czartoryscy! I im odmówić niepodobna wielu zdolności i szczerego o dobro kraju starania. A przecież jakże małe skutki z ich gorliwej pracy wypłynęły! Nie zatrzymali w pół drogi rozpędzonego wozu ojczystego i stoczył się w głąb!... Polska upadła.

Na to nieszczęście składały się i wieki długie i całe pokolenia. Ale i pojedynczych ludzi, od odpowiedzialności uwolnić też nie możemy. Kto zawinił, czy to wprost złą wolą, czy choćby tylko pośrednio brakiem dobrej woli — napiętnowanym być musi. O ileż za to jaśniej, promienniej wyłaniają się z pomroki ogólnego zepsucia ci, którzy stali na straży całości i wolności Ojczyzny, którzy dla jej ocalenia krew i mienie swe poświęcili, którzy raczej tysiąc najokrutniejszych mąk i śmierci gotowi byli znieść, niż pogodzić się dobrowolnie z myślą przyjęcia na karki jarzma obcej niewoli. Do takich przedewszystkiem należy wiekopomnej pamięci Tadeusz Kościuszko, wielki, jako człowiek i Polak, a któremu sława, opromieniająca jego nieśmiertelne imię, jest jedyną nagrodą za trudy i bole ziemskiego żywota.

I.

Dnia 12 lutego 1746 roku, wesoło i gwarno było pod niską strzechą szlacheckiego dworku, należącego do właściciela wsi Mereczowszczyzny (w powiecie płonimskim, na Litwie) pana Ludwika Kościuszki, herbu Roch, majora wojsk narodowych, zacnego i poważanego powszechnie obywatela, ożenionego z Barbarą z Ratomskich; albowiem Bóg właśnie co pobłogosławił małżeństwo ich trzecim już z kolei męskim potomkiem. Na chrzcie świętym obdarzony imieniem Tadeusza, Andrzeja, Bonawentury, chował się młody Kościuszko przez pierwszych lat kilka w domu rodzicielskim, pod troskliwem okiem matki, zaprawiany przykładem otaczających go osób, do cnót i zamiłowania pracy. Prędko też pojął bystry umysł chłopięcia, że „Początkiem mądrości jest bojaźń Boża“ i według tego żyć się przyuczył. Bawiący w ojcowskim dworku gościną przez lat parę wuj Tadeusza, ksiądz Jezuita, ćwiczył chłopczynę w polskim i łacińskim języku, oraz innych szkolnych przedmiotach. Najwięcej jednak objawiał Tadeusz chęci i zdolności do matematyki i historyi, co widząc ojciec, postanowił przeznaczyć mu zawód żołnierza. W owym właśnie czasie założono w Warszawie za staraniem książąt Czartoryskich, krewnych króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, szkołę kadetów, gdzie synowie niezamożnej szlachty mogli bezpłatnie pobierać nauki, mające ich przysposobić do zawodu rycerskiego. Otóż pan Ludwik Kościuszko, związany dawną znajomością z ks. Adamem Czartoryskim, wystarał się o to, iż jego Tadeusza w zakładzie tym pomieszczono. Nadzwyczajną łatwością w przyswajaniu sobie nauk, niezmordowaną pracowitością i szlache-

tnem obejściem, ściągnął młody Kościuszko na siebie oczy swych profesorów i współuczniów i pozyskał zaufanie a miłość ogólną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dańko z Jawuru.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Dobrze. Tatar! dobrze, Tatar! — mówiło paniątko — zobaczymy, kto mocniejszy, chłop, czy ty.

— Paniczu mój! — wołał ciągle Dańko — odwołajcie psa tego, bo to jakoś nieszczęśliwie się skończy.

Lecz Borysław stał zdaleka i patrzył ciekawie, a na psa wołał tylko: — Dobrze bierz Tatar! dobrze bierz Tatar!

Brytan też w tę i ową rzucał się stronę, ciął zębem to w piersi, to w ramiona, gdzie mógł tylko zwięzionym pyskiem ciała zachwycić, ale mocne ręce na wodzy go trzymały. Dańko pracą całego życia zahartowane miał siły i bronił się odważnie zaciekłemu zwierzęciu. Nakoniec widząc, że znikąd pomocy dla niego niema, słysząc ciągle nieludzki śmiech złego dziecka pańskiego i w nim serce jakimś nadzwyczajnym gniewem, niezwykłem oburzeniem zawrzało. Zebrał naraz całą moc swoją, przygniótł kolanami do ziemi brytana, w oba ramiona gardło mu ścisnął, czuł, że go także ostre zęby schwytały, ale pierwej, nim tchu mu zabrakło, ściągnął konwulsyjnie ręce, pies jęknął, a potem oba legli na murawie, tylko że Tatar nie miał więcej z niej powstać.

Wtedy dopiero Borysław zbliżył się ku zapaśnikom, serce mocno mu biło w piersiach, bo chociąż to zły i źle wychowany był chłopiec, przecież i jemu dał Bóg na stróża anioła, sędzię, którego ludzie sumieniem zowią. Przeląkł się okropnie, widząc dwa ciała, jedno na drugiem, bez ruchu leżące. Zawołał Tatara — milczenie mu odpowiedziało: zawołał na chłopca — milczenie znowu; chciał uciekać, ale mu strach było samemu do domu wracać, przez wieś, gdzie także psy trzymano. Stał parę chwil sam, nie wiedząc co począć, gdzie się schować. Chociaż żadnego nie było niebezpieczeństwa, bo domyślał się więcej sercem, niż rozumem, że to co uczynił godnem kary było. Patrzył przed siebie zdumiony, aż zdało mu się, że wiejski chłopiec zrobił lekkie poruszenie. Borysław znowu chciał uciekać, lecz znowu odwagi i sił mu nie stało, a w istocie przez tych parę chwil Dańko przyszedł do siebie, z trudnością splecione ręce rozerwał, podniósł się, i blady, chwiejący, krwią zbryzgany, stanął nad cielskiem zaduszonego brytana.

— Źle paniątko zrobiło — rzekł słabym głosem — źle bardzo, że rozjadłego psiska do nogi nie chciało przywołać. Teraz może mi przyjdzie kilka dni poleżeć, a to nędzne zwierzę nie powstanie więcej.

Na te słowa cała bojaźń Borysława minęła, w miejsce jej gniew go straszny ogarnął, jak to zwykle bywa z niegodziwemi dziećmi, w których po najzbawienniejszem wrażeniu, najgorsze budzą się namiętności. A jeszcze też trzeba powiedzieć, że ów nieżywy Tatar był mu najulubieńszym ze wszystkich psów ojcowskich. Rosły, silny, zły taki, że go wszyscy domownicy niecierpieli, jakąś dziwną wiernością do Borysława przystał. Ledwie panicz chodzić się nauczył, już mu na grzbiet, jako na konia siadał, a brytan, co nawzajem nikogo, nawet Haliny, starszej siostry Borysława, cierpieć nie mógł, co na każdego warczał i szczekał, z nim ciągle w wielkiej zostawał zażyłości, znać dlatego, że go podobnym sobie być przeczuwał.

Gdy więc Borysław ujrzał swego Tatara bez życia, a przy nim tego, co mu je odebrał, zapomniał i chwilowego strachu i głosu anioła, który na niego przestrogą sumienia wołał. Rzucił się najpierw na cielsko psa, jak gdyby chciał się przekonać, czy doprawdy już nie żyje, potem zaś zupełną mając o tem pewność, skoczył ku Dańkowi, który drżącą ręką do zbierania rozsypanych grzybów i swego szczawiu przybierał się właśnie.

— Ty chłopie! ty bydlę! — krzyknął na niego — kto ci pozwolił mego psa mordować? Mego Tatara tyś zabił, otóż teraz ja ciebie zabiję!....

A łącząc uczynek z groźbą, schwycił za włosy biednego chłopaka i z całej siły jął go razami okładać. Dańko nie krzyczał, nie bronił się, z całą okropnością ta uwaga stanęła mu w myśli, że jak pan Kaczubski o wszystkiem się dowie, to sroga zemsta nietylko na niego spadnie, ale i ojca i matki i całej nawet dosięże rodziny.

Borysław bił ciągle, a Dańko tylko przerywanemi słowy mówił do niego:

— Paniątko moje, ulitujcie się nademną! Już

ja pokąsany i zraniony jestem, lecz kiedy taka wasza wola, to bijcie, to zabijajcie, a nie skarżcie przed ojcem, a niech moi rodzice za to nieszczęście nie płaczą.

Lecz zapamiętały młodzieniec niczego słuchać nie chciał i Bóg wie do czegoby było przyszło, gdyby w tejże chwili trzecia osoba między nimi nie stanęła, a wziąwszy w poły Kaszubczyka, nie cisnęła nim jak młodym kotem o ziemię.

Tą osobą był cudnej urody młodzieniec, od piętnastu do szesnastu lat mieć mogący; wyjechał on niepostrzeżony z lasu wtedy właśnie, kiedy Borysław na Dańka się cisnął. Zrazu ciekawie tylko przypatrywać się zdawał zapasom chłopaków, lecz widząc, jak się rzeczy mają, że tylko jeden bije, a drugi się prosi, lekko zeskoczył z konia, samopas w łąkę go puścił, na palec lewej ręki przełożył sobie zakapturzonego sokoła, prawą zaś, jak to już powiedziano, silnie Borysława powalił.

Młodzieniec miał cienkie i kosztowne szaty, wierzchnią odzież szkarłatem podbitą, złoty łańcuch na piersiach.

— A to co znaczy? — rzekł do Dańka, podając mu rękę, aby z ziemi powstał — toć ty, chłopcze, i większy jesteś i na silniejszego wyglądasz, a takiemu pacholęciu zmocować się i pobić dałeś?

— Dobry i miłosierny panie — odrzekł Dańko — to syn naszego pana, mnie go uderzyć nie wolno.

— Nie wolno? a on ciebie bije.

— Zkąd tobie mieszać się w sprawy moje — krzyknął Borysław, który już powstał i z pierwszego odurzenia ochłonął — to chłop mój; chociażbym go i zabił, mój ojciec ma dosyć grzywien i groszy, żeby stu jemu podobnych zapłacić, nieraz to od niego słyszałem.

— A mój ojciec ma turmę dosyć obszerną — odpowiedział młodzieniec — żeby twego ojca i stu jemu podobnych w niej zamknąć. Wstydź się, niegodziwy chłopcze, który bijesz tam, gdzie wiesz, że ci oddać nie mogą, pójdź oto ze mną się spróbuj, a mam nadzieję, że na długi czas litości cię nauczę.

Borysław cofnął się o kilka kroków wtył na takie wyzwanie, lecz wnet powstydził się swej bojaźni i zuchwale przed młodzieńcem stanął.

— Nie zlęknę ja się ciebie, ty sędzio, co nie wiem zkąd się wziąłeś, ale ci powiem najpierw, że złej chwyciłeś się sprawy. Jeśli karałem tego nędznego chłopa, to za to, że mi psa najlepszego i najwierniejszego towarzysza udusił. Zdaje mi się więc, że nic tak osobliwie nielitościwego nie popełniłem.

Nieznajomy zwrócił się ku Dańkowi z powątpiewającą, lecz surową twarzą, a ten, pokazując krew i rany swoje, wszystko wiernie opowiedział. Młodzieniec wtedy oddał mu swego sokoła, sam wyciągnął z za pasa w kunsztowną rękojeść oprawny rzemyczek, którego na konia używał, i schwyciwszy za ramiona Borysława, zaczął mu odliczać wszystkie razy, któremi on pierwej tak niemiłosiernie Dańka okładał. Chłopiec rzucał się, wrzeszczał, odgrażał ojcem i śmiercią. Nieznajomy nic nie zważał na to, dopiero kiedy mu się zdawało, że już dostateczna będzie kara, puścił go wolno i do domu iść kazał.

Lecz Dańko rzucił się do nóg jego, prosząc dalszej opieki.

— To nic — rzekł mu ze łzami — żeście mnie od tego bólu wybawili, ręka dziecięca jest jakby pogłaskaniem na wieśniaczej skórze, ale teraz będzie daleko gorzej, jeśli przed ojcem syn się poskarży, że to z mojej przyczyny się stało, daleko większe wypadnie nieszczęście. I gdyby to mnie tylko — mówił z rzewniejszym jeszcze płaczem — tobym Panu Bogu dziękował, że mi chociaż na chwilę takiego jak wy zesłał obrońcę, lecz ja mam ojca, matkę, rodzeństwo; jeśli nad nimi pan Kaszuba zacznie się srożyć, to już chyba tego z żalu nie przeżyję.

— Bądź spokojne, poczciwe chłopię — odrzekł wzruszony młodzieniec — już to możesz mieć we wszelkiej u siebie pewności, że ja cię nie opuszczę i pamiętać będę o tobie.

Wtem dał się słyszeć róg myśliwski w oddaleniu.

— Mnie to zapewne szukają — mówił dalej młodzieniec, i przyłożywszy do ust srebrną piszczałkę, trzykrotnym odezwał się dźwiękiem; głosy psów doszczekujących, stąpania kutych koni, aczkolwiek dalekie, przecież rozpoznać można było, że się ku stronie rozmawiających zbliżały.

Borysław, który dotychczas połykał łzy swoje i pienił się ze złości, a czekał ciągle, czy kto z dworu ojcowskiego nie nadciągnie z pomocą i zemstą gotową, widząc, że tu jeszcze coś gorszego przytrafić mu się może, krzyknął na przeciwników swoich raz jeszcze jakimś zelżywym i brzydkim wyrazem, a potem tą samą drogą co Magdeczka uciekać zaczął, przekonany, że straszliwą gromadę zbójców zostawia za sobą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.